

Artur D. Schmidt

Pyły pustkowi

v.1.5.1 - 26.03.2011

PROLOG

Żyjemy w świecie takim, jaki jest. Dużo osób narzeka na swoje życie. To, co się dzieje, jest niczym innym jak szeregiem przypadkowych zdarzeń. Nie raz mieliśmy wrażenie, że jeden mały detal zadecydował o bardzo ważnej sprawie. Dochodzimy do wniosku, jak niewiele brakowało, by historia całej ludzkości przybrała innego toru zdarzeń – takiego, którego nie chcielibyśmy zobaczyć nawet w koszmarze...

Co by było, gdybyś obudził się kiedyś sam, nie mając pojęcia, gdzie się znajdujesz? Nie wiedząc nawet, kim jesteś? Najgorsze, że to, co Cię czeka na drodze bez celu, jest jeszcze okrutniejsze...

ROZDZIAŁ I

„Witamy w nowym świecie...”

CIENIE PUSTKOWI

Mrok... Nieskończona otchłań czerni... Odruchowe otwarcie oczu przerwało ten widok. Został on zastąpiony jasnym, bezchmurnym niebem. Słońce bezlitośnie paliło moją twarz. Boże... Dopiero w tej chwili doszedł do mnie potworny ból głowy. To nie był taki zwykły ból. Różnił się czymś od takich zwykłych bólów. Zaraz... Co ja w ogóle tutaj robię??? Zacząłem zadawać sobie szereg pytań, jednak nie znalazłem odpowiedzi na żadne z nich. Może się to wydawać śmieszne, wręcz głupie, ale jednym z takich pytań było, kim ja jestem? By móc odpowiedzieć na pytanie „gdzie ja jestem”, musiałem się rozejrzeć dookoła. Wstałem na nogi. Jednak od razu nie mogłem wyczuć pionu i po chwili chwiania się, udało mi się złapać równowagę. Jednak zamiast znaleźć odpowiedź na pytanie, pojawiły się następne. Zewsząd otaczało mnie pustkowie. Była to wielka przestrzeń, porośnięta średniej długości, żółtą trawą, sięgającą aż po horyzont. Świetnie... Przejrzałem dokładnie miejsce, w którym leżałem. Nie znalazłem niczego. Po chwili, wpadłem na banalny pomysł. Przeszukam swoje ubrania w poszukiwaniu jakiejś podpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Byłem ubrany w odrapane spodnie, szarej barwy. Spoczywała (była tak niechlujnie ubrana) na mnie biała podkoszulka. Skórzane brązowe buty przylegały do moich stóp. Nie znalazłem niczego więcej przy sobie. Niczym John Lock, rozejrzałem się jeszcze raz po trawie, na której leżałem. Tym razem, szukałem śladów osób trzecich, które mogły mi pomóc się tak urządzić. Niestety, skorupa ziemi była tak twarda, że sam nie zostawiałem jakichkolwiek śladów. No to wpadłem brachu... Głód powoli zaczął mi się objawiać. Potrzeba jedzenia, niczym pierwotnemu człowiekowi, nakazała iść... Tylko, dokąd??? Hmm... Dostosuję się do treści pewnej piosenki i pójdę w stronę słońca.

Temperatura była wysoka. Po pokonaniu dłuższego dystansu, zacząłem odczuwać skutki nadmiaru ciepła, pochodzącego od promieni słońca. Lekki, ciepły wiaterek zmienił się teraz w diabelski popierd i zaczął powoli działać mi na nerwy. Zwłaszcza, że jak zamykałem oczy, pozostawał mi w pamięci widok tych traw... Nie mogłem się go pozbyć. Jednolite, szarżółtawe barwy prosiły mnie o wpadnięcie w depresję i przypominały, „nam też chce się pić”. Chciałem dla zbitcia czasu zanucić sobie jakąś piosenkę, ale nie dość, że żadnej nie pamiętałem, to jeszcze nasilał się ból głowy. Zauważyłem ciemny obiekt na niebie... Poruszał się. To był ptak!!! O tak!!! Wreszcie, ślad jakiegokolwiek życia... O cholera. Zniknął... Tak po prostu znikł... Wygląda na to, że to tylko złudzenie. Słońce zaczęło powoli schodzić w dół, a ja nie zmieniając kursu, szedłem chcąc jakby do niego dojść. Oj... Chyba trochę nadłożyłem trasy, bo przecież słońce nie tylko w pionie się porusza... A z resztą. Co to za różnicaaaa... Upadłem na ziemię. Potknąłem się o coś, co w odpowiedzi chrupnęło. Podczołgałem się, by zobaczyć, co za wredny obiekt zmusił mnie do upadku... O mój Boże... To są kości... Widok mnie wystraszył. Może, nie zrobiłby na mnie tak wielkiego wrażenia, gdyby nie to, że były one ludzkie. Powoli opanowałem strach i obrzydzenie i zacząłem się przyglądać tym pozostałościom. Czyżby on był nagi? Nie ma na sobie żadnych ubrań... Powinny tu jakieś przecież być. Nie ma niczego! Tylko same kości. Ten koleś... On chyba zwariował. Latał nagi po tym pustkowi. Widocznie jemu bardziej słońce przyświeciło. Chociaż... Może ja też tak będę wyglądał ze parę godzin... Dobra... Koniec przedstawienia. Idę dalej. Nie... Ten widok nie zrobił na mnie wrażenia. Wcale. Przecież to normalne. Wszędzie na pustkowiach leżą takie trupy. Każdy się o nie potyka...

Ruszyłem dalej. Po chwili, zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno się potknąłem o kości. O prawdziwe kości. Może to tylko moja wyobraźnia. Albo chwilowo straciłem przytomność, lub przyśniło mi się to na jawie. A z resztą... Co to za różnica? Jakby to spotkanie miało coś zmienić w moim życiu... W moim krótkim życiu. Może, jakiś podróżnik znajdzie moje zwłoki i napisze „Tu spoczywa kolejny anonimowy idiota, któremu słońeczko powiedziało do widzenia”. Te piękne myśli o tym, że ktoś się mną w ogóle zajmie i pozostawi po mnie jakiś ślad na tym przeklętym świecie, przerwał mi widok wzniesienia, zakrytego rozbłyskiem promieni słońca. Jedyne wzniesienie, odkąd pamiętam. Teraz, stało się ono moim życiowym celem. Co jest za tą górką? – to było pytanie, godne człowieka. Powoli zacząłem wspinać się na wzniesienie. Jednocześnie omotało mnie jakieś podniecenie. Co się kryje za tą górką? Z drugiej strony, tej logicznej, pogodziłem się z tym, że tam niczego nie ma i robię sobie zbędną nadzieję. Wszedłem na szczyt i ... miałem rację. Niczego tam niezwykłego nie było. Chociaż... Zaraz! Tam przy horyzoncie jest ... coś. Jakieś wystające ponad trawę obiekty. Tylko, co to jest??? Teraz to ja nawet nie mam wyboru. Muszę tam po prostu iść.

Po dłuższej chwili marszu, te obiekty zaczęły przypominać coś konkretnego... To były jakieś namioty. W tym momencie trudno było określić ilość, jednak nie było ich tam za dużo. To pewnie jakaś grupa podróżników, która rozbiła tu sobie obóz. W końcu, nie widzę powodu, by robili sobie jakąś wioskę w tym miejscu. Po kolejnych minutach, mogłem już rozpoznać sylwetki ludzi, chodzących obok namiotów. Trudno, aby oni mnie nie zauważyli. I jakoś nie robili sobie sensacji, z samotnego kolesia, przemierzającego te pustkowia. Czym bliżej podchodziłem do tego obozu, tym więcej detali zauważyłem. Na środku otoczonym szarawymi, połatanymi gdzieniegdzie namiotami, płonęło ognisko. Dookoła niego siedziały trzy osoby. Widocznie piekły sobie jakieś jedzenie. Namiotów było około sześciu. O dziwo, ludzie byli ubrani podobnie do mnie. Ubrania musiały być długo używane. Były wyblakłe i poprzecierane. Wiatr wiał od strony obozu. Znalazłem się w zasięgu zapachu piekącego się nad ogniskiem mięsa. Mniemam. Miałem teraz wrażenie, że nie jadłem cały dzień. Powoli zacząłem się ślinić, mimo tego, że byłem całkiem już upieczony przez bezlitosne słońce. Po przypatrzeniu się temu wszystkiemu, miałem wrażenie, że to są jacyś uchodźcy, czy też biedni, bezdomni ludzie, którzy nie mają sposobności się nawet umyć. A brak zainteresowania mną mógł świadczyć o ich zacofaniu umysłowym. Powoli wyimaginowałem sobie nawet rozmowę z ich przedstawicielem. Odpowiedź na każde moje pytanie, była identyczna. Zacofaniec, zamiast mówić, wydawał dźwięki „yhy” i drapał się po zawszonej czuprynie. Zmuszenie ich do podzielenia się posiłkiem nie wydawało się trudne. Tymczasem ta iluzja znikła, razem z usłyszeniem – normalnej – ludzkiej mowy. A już myślałem, że to jakieś bezmózgie Yeti. Byłem już z pięć metrów od ogniska, gdy ludzie mnie spostrzegli. Rozmowy ucichły. W ich spojrzeniach było widać nieufność... A nawet strach. Trzeba być teraz bardzo ostrożnym, by nie popełnić jakiegoś błędu, który może wywołać u nich reakcje obronne. Niektórzy schowali się nawet do namiotów i widać było tylko głowy, wystające pomiędzy połami. Powoli podszedłem do ogniska, a następnie wskazałem ręką smażone na kiju mięso. Chciałem powiedzieć coś, a raczej grzecznie o to poprosić, jednak widząc te całe zaniepokojenie, całkowicie odebrało mi mowę. Chciałem się stąd wyrwać i olać ten cały głód. Można było wyczuć te całe napięcie. Zaczął mnie oblewać zimny pot i zamiast robić cokolwiek, stałem niczym zamrożony. Mijały długie chwile i nic się nie działo... Cofnąłem rękę i zacząłem się wycofywać. Milczenie przerwało pytanie wystrzelone – niczym pocisk z rewolweru – przez wychodzącego właśnie z namiotu starszego mężczyznę:

Mężczyzna: - Kim jesteś???

Ja: - Eee... Ja??? Ja jestem... Eee... – Tej sytuacji w ogóle nie przewidziałem, chociaż była banalnie przewidywalna. Jednak po chwili znalazłem sobie jakieś imię. – Jestem... Daniel... Tak, Daniel – wypowiedziałem jeszcze raz, tym razem pewniej.

Mężczyzna: - Hmm... Tak więc, masz na imię Daniel, tak???

Ja: - Tak...

Mężczyzna: - A co cię tu sprowadza... Danielu??? Jesteś sam??? Na takim pustkowiu???

Ja: - Eee... No, bo ja... .. Eh... Sam nie wiem. A czy to istotne?!

Mężczyzna: - Tak. I to bardzo.

Ja: - Ja się obudziłem na pustkowiu... Sam... Nie pamiętam, jak się tam znalazłem.

Mężczyzna: - Widzę, że kłamiesz. Co chcesz przed nami ukryć???

Ja: - Nie kłamię!!! To jest prawda. A czego się podziewałeś, staruchu???

Mężczyzna: - Ty chamie! Jak śmiesz tak do mnie mówić?!

Ja: - To nie ja pytam się ciebie, kim jesteś, co tu robisz i kiedy ostatnio oddawałeś mocz!

Facet spojrzał ze zdziwieniem w moje oczy. Na jego pomarszczonej twarzy, było widać zdenerwowanie, jednak te po chwili znikło. Po krótkiej przerwie ciszy, starzec wybuchł śmiechem. Było w nim widać coś szalonego.

Mężczyzna: - Widzę, że jesteś jednym z nas... A raczej, pasujesz do nas. Właśnie przygotowujemy kolację. Będzie niedługo gotowa. Nie mam nic przeciwko, abyś się z nami posiłk.

Ja: - ... Świetnie! A! – dodałem po chwili. – Mam jeszcze pytanie... Tylko jedno. A co będziemy jedli?

Mężczyzna: - Jak to, co??? Mięso. Nie ma w pobliżu żadnych zjadliwych roślin.

Ja: - Tyle to ja wiem. Ale jakie mięso???

Mężczyzna: - Zwykłe. Pieczony szczur. Dzisiaj akurat przygotowuje go Adelajda. To danie, jest jej specjalnością... Czemu zrobiłeś taką dziwną minę?

Ja: - Nieważne. W sumie, to ja nie mam wyboru. No i dziękuję, za posiłek dla mnie.

Facet chwilę popatrzył jeszcze na mnie, lecz widząc u mnie brak chęci do kontynuowania rozmowy, machnął ręką i wrócił z powrotem do namiotu. Chwilowo patrzyłem jeszcze na sam namiot, jednak zirytowała mnie cisza. Rozejrzałem się dookoła, a wokół mnie nadal stała ta hołota. Po chwili, gdy zorientowali się, że nadzwyczajna scenka się skończyła, wrócili do poprzednich czynności, udając brak zainteresowania moją osobą. Przed posiłkiem miałem czas rozejrzeć się jeszcze po obozowisku. Było tutaj w sumie sześć starych namiotów, ustawionych dookoła ogniska. Dodatkowo, na uboczu stały dwa wózki, przeznaczone do transportowania różnych towarów przez ludzi. Oba były załadowane koszami z wodą (przypominającymi drewniane beczki). Ludzie mnie jeszcze nie znali, więc zrezygnowałem z przeszukiwania namiotów. Teraz pozostało tylko czekać na posiłek. Usiadłem na środku obozu na suchej trawie i przypatrywałem się ognisku. Skutkiem tego, zrobiło mi się jeszcze cieplej, a raczej ponownie zacząłem odczuwać żar. Zamknąłem oczy. Po chwili usłyszałem szelest

i zauważyłem małą dziewczynkę, z jakąś szmatą w ręku. Usiadła obok mnie, przypatrując się uważnie. Udawałem, że jej nie widzę...

Dziewczynka: - Cześć – powiedziała głośno, jednak ja nadal ją ignorowałem. – Czemu nie chcesz ze mną rozmawiać?

Ja: - Mama nie nauczyła cię, że nie rozmawia się z nieznanymi?

Dziewczynka: - Ja nie mam mamy...

Ja: - Eh... Bardzo mi przykro... Nie wiedziałem...

Dziewczynka: - Nie szkodzi. Już się przyzwyczyłam.

Chcąc skorzystać z sytuacji zdecydowałem o próbie dowiedzenia się czegoś na temat tej grupy.

Ja: - Czym się na co dzień zajmujecie?

Dziewczynka: - Jak to czym? Po prostu żyjemy... Podróżujemy.

Ja: - A co was skłoniło do takiego sposobu życia?

Dziewczynka: - Tak zawsze było. Od początku, odkąd pamiętam, podróżujemy.

Ja: - Wiesz może, gdzie jest najbliższa miejscowość?

Dziewczynka: - Nasza grupa nie zachodzi do osad.

Ja: - Dlaczego?

Dziewczynka: - Tak już jest...

Nastąpiła cisza, jednak szybko została przerwana. Dookoła ogniska zaczęli zbierać się ludzie. Widocznie, kolacja została przyszykowana. Dziewczynka, widząc sytuację, wstała i pobiegła do reszty osób. Głód nie pozostawił mi innego wyboru. Podeszedłem więc do grupy stojącej dookoła ogniska. Wydawali się nie zwracać na mnie uwagi. Upieczone mięso leżało teraz na ściętym kawałku pnia drzewa, udając stolik. Ludzie brali je sobie i siadali dookoła... Zdziwiło mnie to. Brak jakichś racji i nadzoru. Najwidoczniej są mocno ze sobą zżyci i ufają sobie nawzajem. Może to jakaś sekta? Wziąłem sobie jeden kawałek i usiadłem w kręgu. Mięso było dosyć suche i chrupkie, ale smakowało. Obok mnie siedziała dosyć młoda kobieta. To chyba była ta Adelajda, która przyrządziła kolację.

Ja: - Cześć.

Adelajda: - Witaj.

Ja: - Przyznam, że mięso było bardzo smaczne.

Adelajda: - Dziękuję. Mówią, że to moja specjalność.

Ja: - W każdym bądź razie mają rację.

Adelajda: - Co cię do nas sprowadza?

Ja: - Trudne pytanie. Dzisiaj obudziłem się tutaj na pustkowiu niczego prawie nie pamiętając. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, jak mam na imię.

Adelajda: - To smutne...

Ja: - Nie wiedziałem dokąd iść. Szedłem pod słońce, aż w końcu dotarłem tutaj.

Adelajda: - Miałeś szczęście, że do nas trafiłeś.

Ja: - To prawda. Mogłem przecież umrzeć z pragnienia. Nawet jakbym poszedł trochę w innym kierunku, nie wiadomo, czy bym dożył jutra.

Adelajda: - Z pragnienia? Pragnienie to chyba najlepsze, co ciebie mogło tutaj spotkać.

Ja: - Jak to? Co masz na myśli?

Adelajda: - Nie bez powodu cały czas jesteśmy w ruchu. Postój na dłuższy czas mógł sprowadzić do nas łupieżców.

Ja: - Jakich łupieżców?

Adelajda: - Ostatnio potrzebowaliśmy żywności. Podstawą są szczury, jednak te trudno spotkać na pustkowiach. Trzeba ich szukać w jaskiniach albo w zabudowaniach. Tak więc zwiadowcy naszego konwoju zauważyli prawdopodobnie opuszczone zabudowania. Wysłaliśmy tam naszych myśliwych, by przynieśli szczury, lub jakąś inną żywność. Kiedy wrócili opowiadali, że miasto nie było opuszczone, tylko zmasakrowane. Nie było tam nikogo żywego... Trupy leżały wszędzie. Ktoś, kto to zrobił, nie tylko zrabował osadę, ale także bezlitośnie pozarzynał ludzi. Niektóre zwłoki były powieszane na starych latarniach. Większość była obdarta z ubrań i cała we krwi. Oni nie zginęli od razu. Znęcali się nad nimi...

Ja: - ... Wygląda na to, że ktoś chciał wzbudzić strach. A co z policją? Przecież takie coś nie uchodzi bez rozgłosu.

Adelajda: - O czym ty mówisz? Jaką policją? Policja przestała istnieć z chwilą ataku dobre pół roku temu!

Ja: - Jakiego ataku?

Adelajda: - No atomowego!

Ja: - Co?

Adelajda: - Zgrywasz idiotę?

Ja: - Czekaj... Mówiłem, że nie pamiętam za dużo z przeszłości. Powiedz mi, co się ostatnio działo... Takiego ważnego... Przełomowego.

Adelajda: - Kiedyś, ludzie się rano budzili w wygodnym łóżku. Myli się, jedli śniadanie, jechali do pracy. Po południu, po powrocie do pracy, oglądało się telewizję, albo szło się gdzieś ze znajomymi. Później kolacja, spać i cykl się powtarzał...

Ja: - Kiedyś? Ja to pamiętam, jakby to było jeszcze wczoraj!

Adelajda: - Pewnego wiosennego dnia, wszystko się zmieniło. Ja akurat miałam więcej szczęścia od większości znajomych. Dostałam polecenie od przełożonego, żeby zejść po dokumenty do piwnicy. Na początku poprosiłam koleżankę, aby zrobiła to za mnie, bo ja jeszcze miałam dużo pracy do zrobienia, w przeciwieństwie do znajomej. Na biurku leżał stos papierów, gotowych do uzupełnienia baz danych na komputerze. Jednak ta powiedziała, że za chwilę kończy i idzie do domu. To był jej największy błąd w życiu, który jednocześnie mnie uratował. Gdy byłam w piwnicy, usłyszałam potężny huk, który wzrastał wraz z wstrząsami. To było straszne. Zrobiło się ciemno, bo zgasły lampy. Byłam wtedy sama w małym pomieszczeniu. Musiałam zobaczyć, co się

stało na zewnątrz. Wyciągnęłam telefon z kieszeni by oświetlić sobie drogę. Otworzyłam drzwi. Korytarz za drzwiami został zasypany gruzami. Bałam się, że to będzie mój grobowiec. Jednak zauważyłam szczelinę wśród betonu. Ledwo się przez nią przecisnęłam. Gdy tylko znalazłam się na powierzchni, widok był przerażający. Te wszystkie budynki, ulice, znikły. Miasto praktycznie przestało istnieć. Została tylko kupa gruzu. Udało mi się znaleźć parę osób, którym także udało się przeżyć tę katastrofę. Razem było nam łatwiej przetrwać te trudne czasy. Z biegiem czasu, zdobyłam więcej informacji. To nie była jedyna bomba. Wybuchły w całej okolicy. Inaczej mówiąc, nie spotkałam nikogo, kto byłby spoza strefy wybuchów. Nawet mam wrażenie, że to jest cykliczne zredukowanie ludzkości, które zdarza się co jakiś czas i dotyka całą planetę...

To ciekawe opowiadanie zostało przerwane przez krążącą wśród zebranych manierkę. To była woda, jednak złej jakości. Cała ta historia zrobiła na mnie duże wrażenie. Chwilami nie wiedziałem, czy ona sobie nie żartuje. Jednakże wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Najgorsze, że nadal nie pamiętałem, kim jestem oraz co robiłem w chwili ataku.

Po kolacji dostałem propozycję od starszego mężczyzny, który był szefem grupy, by przenocować w jednym z namiotów. Powiedział mi, że mogę podróżować z nimi i w razie, gdy niedługo będziemy obok jakiegoś miasta, opuszczę ich. Poszedłem spać na jakimś starym materacu w przeznaczonym dla mnie namiocie. Ponieważ byłem zmęczony długim przemarszem, szybko zasnąłem. Leżałem w pokoju na wygodnym łóżku. Okna były zasłonięte roletami. W pomieszczeniu było dosyć ciemno. Usłyszałem kroki. Jednak nie mogłem zareagować. Słyszałem, jak stopniowo dźwięk robił się głośniejszy. W końcu ktoś otworzył drzwi. Pojawiła się w nich ciemna postać, której twarzy nie mogłem rozpoznać. Była niewyraźna. Podeszła do mnie. Miała na sobie ciemny płaszcz i kapelusz. „Już czas...” – wypowiedziała swoim zimnym, chropowatym głosem. Odruchowo spojrzałem na zegar... Była godzina 0. W tej chwili postać znikła. Wstałem. Byłem już ubrany. Nagle pomieszczenie zaczęło się palić. Coraz więcej obiektów zaczynało płonąć. Robiło się coraz cieplej. Chciałem uciekać. Pobiegłem do drzwi, jednak te były zamknięte. Spróbowałem je wyważyć, jednak te nie reagowały. Odwróciłem się. Ogień powoli zajmował całe pomieszczenie... Zrobiło się gorąco...

Obudziłem się cały spocony. Uff... Na szczęście to był tylko sen. Po chwili ciszy, usłyszałem huki i wybuchy. Coś się działo na zewnątrz. Wstałem z materaca. Podeszedłem do wyjścia z namiotu, kiedy nagle w przejściu stanęła ciemna postać. Gdy mnie zauważyła, zrobiła jakiś ruch i poczułem mocny ból w głowie... Zacząłem bezwładnie opadać, aż w końcu pojawiła się ciemność...

BŁYSK

Przebudziłem się. Patrzyłem w sufit, na który ledwo padało bladożółte światło żarówki. Był tam też cień, który układał się w liczne linie. Leżałem na twardej, mokrej, zimnej powierzchni. Wstałem, jednak nie odbyło się to bez bólu. Wyczułem, że jestem poobijany w różnych miejscach. Teraz mogłem już sprecyzować swoją lokalizację. Znajdowałem się wewnątrz jakiegoś więzienia. Trudno powiedzieć, czy było ono stare, ale z pewnością zaniedbane i zdemolowane. Z trzech stron otaczała mnie brudna, wilgotna i śmierdząca szczochami ściana, na której nadal można było wyróżnić odpadający gdzieś tam tynk pomalowany żółtą farbą. W pomieszczeniu była też prycza przymocowana do ściany. Na podłodze leżał stłuczony, kremowy ze starości zlew. Na szczęście w jego zastępstwie stała też muszla klozetowa. No, może nie była ona w stanie świetności, jednak lepsze to, niż robienie na podłogę, która niedawno posłużyła jako łóżko. Zamiast czwartej ściany, były solidne, metalowe kraty, po środku których znajdowały się drzwi. Za nimi był jakiś korytarz, gdzie znajdowało się też oświetlenie, czy raczej świecąca żarówka w żółtym z brudu kloszu. Widok przez kraty mojego „mieszkania” prowadził na drugą przeciwną celę. Była w podobnym stanie, jednak zamiast zlewu, na ziemi leżała przewrócona na bok muszla. Przez słabe oświetlenie, dopiero teraz zauważyłem, że na podłodze leży także jakaś postać. Nie wyglądała na żywą. Zacząłem się zastanawiać, ile już spędziłem tu czasu. Chciałem chociaż zobaczyć, jaka jest pora dnia. Co prawda, w pomieszczeniu znajdowało się malutkie okienko, jednak było zabite z zewnątrz jakąś deską. Ciekawe, co zrobili tym ludziom z obozu? Może też gdzieś tu są???

Moje przemyślenia przerwał dźwięk skrzypiących drzwi. Było słychać odgłosy kroków, które z każdą chwilą robiły się coraz to głośniejsze. To były co najmniej dwie osoby. Chciałem podejść do drzwi i zerknąć, kim oni są, ale stwierdziłem, że nie ma sensu ryzykować i zwracać na siebie uwagę. W końcu jeden z nich podszedł pod moją celę i zaświecił mi latarką po oczach. Chwile tak stał i poszedł dalej w prawo wzdłuż korytarza. Druga osoba zrobiła identycznie, jednak sprawdzała pomieszczenie naprzeciwko. Po ujrzeniu trupa, krzyknął tylko: „Ej, Siwy, tu trzeba będzie posprzątać!”, po czym drugi odpowiedział: „Odwal się! Dzisiaj twoja kolej.” Teraz mogłem się trochę przyjrzeć tej osobie. Facet był ubrany w ciemne spodnie i bluzę, na której było oporządzenie. W dodatku, na udzie miał chyba kaburę z bronią krótką, lub czymś, co ją przypominało. W każdym razie zdałem sobie sprawę, że ci faceci nie należą do grona tych, z którymi można negocjować. Wzdłuż całego korytarza było chyba z osiem cel, takich jak moja. Gdy doszli do końca, usłyszałem: „Dobra, to którego brudasa dzisiaj bierzemy?”. Odpowiedź była szybka i precyzyjna: „Dawaj tego najbliższego. Wygląda na takiego, który nie będzie robił problemów...” Nagle ktoś z lewej strony krzyknął: „Hej, mięczaki! Chcecie kogoś wziąć!? Spróbujcie mnie najpierw pokonać! Jeden na jeden – na gołe pięści... Chyba się nie boicie???” Po krótkiej chwili milczenia, obydwu strażników podeszło do delikwenta. Musiałem to zobaczyć, więc podszedłem do drzwi i wychyliłem głowę przez kraty. Podeszli do celi, z której padły zaczepne słowa i jeden z nich zapytał się:

- Ty to powiedziałaś?

- Tak cieniasie!

- To zapraszam!

Strażnik otworzył drzwi i odsunął się, świecąc latarką na więźnia. Drugi dryblas ucisnął pięści i złożył ręce w pozycji, znanej każdemu dziecku z filmów akcji. Więzień zrobił to samo i zaczął wychodzić powoli z celi w stronę swojego przeciwnika:

- Jeśli z tobą wygram, wypuścisz mnie i zapomnisz o całej tej sprawie, O.K.?

- Dobrze. Ale musisz najpierw wygrać... Słyszałeś może o wolnej amerykance?

- Tak jakby...

- To patrz i ucz się...

Strażnik wyjął pistolet z kabury i strzelił w jego stronę... Promień latarki oświetlił rozbryzgujące się wnętrzności czaszki, po czym więzień bezwładnie – z dużą siłą – padł na podłogę. Strażnicy zaczęli się śmiać. Drugi powiedział, że to było nawet oryginalne. I w dobrym humorze opuścili korytarz. Ta sytuacja kompletnie mną wstrząsnęła. Ci mężczyźni byli zupełnie bezwzględni. Nie miałem zamiaru znaleźć się na drodze któregoś z nich... Przynajmniej nie teraz. A zgrywanie bohatera trwałoby nawet mniej, niż przerwa na reklamy w telewizji... Trzeba najpierw zadbać o siebie. Przemyslenia na ten temat zmusiły mnie do snu. Zanim oprzytomniałem, najwidoczniej musiałem się zmęczyć ciosami od tych psychopatów, dlatego długo nie wytrzymałem, aż wreszcie zasnąłem.

W nocy śniły mi się jakieś koszmary. Na szczęście, nie byłem w stanie ich zapamiętać. Może po prostu zachorowałem... Albo nawet sam sobie wmówiłem, że nic mi się nie przyśniło. No cóż. Przede mną kolejny ciężki dzień. Tylko, że nie mogę nawet powiedzieć, czy aby na pewno jest teraz dzień. Znowu nie byłem w stanie określić, kiedy ostatnio coś jadłem, czy nawet piłem. W akcie desperacji, podszedłem do zlewu i odkręciłem kurek. Niestety, zamiast wody posypał się jakiś brud. A może to i dobrze??? Jakby była jakaś ciecz, to nie sądzę, aby była możliwa do wypicia... Trochę to źle określiłem, bo – jak to mówią – wszystkie grzyby są jadalne. Niektóre tylko raz...

Nagle po pomieszczeniach przeleciał pisk. Źródłem okazał się głośnik. Ktoś przez niego powiedział coś w stylu: „*Słuchajcie brudasy! Od dzisiaj nie jesteście już ludźmi. Jesteście najniżsi w hierarchii, o wiele niżej od naszych psów! Jesteście naszą własnością! Ci, którzy się nie przystosują, posłużą jako posiłek dla reszty! Jeżeli spróbujecie uciec, to będzie to wasz ostatni błąd w życiu. Nie ma sensu nawet próbować, bo w okolicy są same pustkowia i jedyną pomocą, jaką możecie spotkać jest nasz patrol, który z chęcią pomoże wam kończąc wasze cierpienia na zawsze! Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno! A teraz wstawać! Czas żreć!*”

Cholera. Jeżeli to ma tak wyglądać, to chyba najlepszym rozwiązaniem jest próba ucieczki... Hah. Dobrze to ująłem. Bo wątpię w jej sukces, ale przynajmniej nie posłużę za jedzenie dla innych. Po tej przesiąkniętej egoizmem myśli, drzwi automatycznie się otworzyły. Nie byłem pewien, czy powinienem wyjść z celi, ale przekonał mnie widok innych, którzy już tak uczynili. W sumie było nas tam pięciu. Co dziwne, żadnego z nich do tej pory nie słyszałem.

Widocznie przyjęli taką samą taktykę co ja. Po lewej stronie korytarz skręcał w prawo i w tym miejscu zaczynały się schody na górę. Właśnie wyszło stamtąd czterech mężczyzn. Wyglądali tak, jak strażnicy, których widziałem wczoraj. Problem w tym, że jeden z nich miał chyba Skorpion, czyli krótki karabin szturmowy, bazowany na konstrukcji kałasznikowa. Nie wyglądało to najlepiej. Nie miałem zamiaru dostać seria po plecach.

„*Włazić do góry!*” – krzyknął jeden ze strażników. Grupa pięciu ludzi zaczęła iść w stronę schodów. Po wejściu na górę, znajdowaliśmy się w dużym pomieszczeniu. Wyglądało na stary magazyn. Wszędzie leżały jakieś śmieci, a okna były zabrudzone, jednak mimo tego, przedostawało się trochę światła z zewnątrz. Na środku pomieszczenia stał wielki metalowy stół. Na nim leżała sterta jakiegoś mięsa, a obok stało metalowe wiadro. Jeden z grupy szybko pobiegł i wziął kawałek jedzenia, następnie zaczął je szybko konsumować. Reszta osób zrobiła to samo. Korzystając z zamieszania rozejrzałem się po pomieszczeniu. Oprócz schodów w dół, były jeszcze dwie pary drzwi i najprawdopodobniej prowadziły one na zewnątrz. Podeszedłem do stołu póki było jeszcze jedzenie. Wziąłem duży kawałek mięsa i rozerwałem na pół. Po chwili skończyło się już to paskudztwo. Na wszelki wypadek, zjadłem jedną połówkę. Jeden z grupy był dosyć gruby, co nasunęło mi pewien pomysł. Podeszedłem do niego i zapytałem się:

Ja: - Mam wrażenie, że chciałbyś więcej. Wyglądasz na wygłodzonego...

Grubas: - Jak nie jesz, to dawaj! – Facet machnął swoją grubą łapą chcąc wyrwać moje jedzenie, jednakże nie miał najlepszej kondycji i zdążyłem wycofać swoją rękę.

Ja: - Mam dla ciebie małą ofertę. Widzisz, ja nie potrzebuję tyle jeść i jestem gotów oddać tobie tę część. Ale nic za darmo. Mam dobre poczucie humoru i ... Chcę zobaczyć, jak kopniesz w zad tego kolesia – powiedziałem wskazując na jakąś ofiarę.

Grubas: - Chyba cię pogrzało?!

Ja: - Może... Mam wrażenie, że jednak nie jesteś głodny. No cóż...

Grubas: - Czekaj! Niech będzie.

Dałem mu kawałek mięsa, a ten bardzo szybko to zżarł, po czym spojrzał się jeszcze raz na mnie. Kiwnąłem mu tylko głową. W tym momencie grubas zrobił głupią minę, ale po chwili odwrócił się w stronę drugiej osoby i po szybkim przymierzeniu kopnął kolesia prosto w zad. Facet dopiero co dorwał się do swojego jedzenia, a kop mocno go wystraszył i mięso wylądowało na – delikatnie mówiąc – brudnej podłodze. Jakby tego było mało, inna osoba nadepnęła mu na jedzenie. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Ofiara wpadła w szal i rzuciła się na grubasa. O dziwo udało się jej przewrócić go na ziemię. Zaczęła się bijatyka. I po dłuższej chwili skapnąłem się, że mój piękny plan nie wypali. Obejrzałem się do tyłu. Strażnicy stali jak kołki i tylko się patrzyli na przebieg bójk z lekkim uśmiechem na ustach. Myślałem, że chociaż podejda tutaj... No tak. W końcu to nie są byle idioci... Było ich trzech. Gdzie czwarty polazł!? Długo nie czekałem na odpowiedź, bo po schodach jeden ze strażników ciągnął zwłoki. Najwidoczniej był to ten „bohater”, któremu zachciało się przeciwstawić. W tej chwili facet ze Skorpionem krzyknął do mnie:

Strażnik: - Na co się gapisz?!

Ja: - Ja tylko patrzę, że nie ma sensu zgrywać bohatera... – odpowiedziałem spontanicznie, co w ogóle głupio zabrzmiało.

Strażnik: - Myślisz, że jesteś taki mądry?

Ja: - Ja??? Skądże...

Strażnik: - Chodź no tutaj...

Koleś zaczął iść w moim kierunku. Na początku chciałem się cofnąć, ale pomyślałem, że to nie zadziałałoby tak, jak trzeba. Tak więc też ruszyłem w jego kierunku pewnym krokiem. Zdziwiło go to, ale dalej się zbliżał. Kiedy tylko znalazł się obok mnie chwycił mnie za szyję, nadal trzymając w drugiej ręce karabin.

Strażnik: - I co mały skurwielu? Nadal chcesz być cwaniaczkiem?

Ja: - Odwal się...

Strażnik: - Co powiedziałeś???!!! – Facet pchnął mnie na ziemię, po czym przeładował broń i przystawił mi ją do głowy.

Drugi strażnik: - Daj mu spokój... Chyba nie będziesz marnował na niego amunicji?! Przecież wiesz, że ostatnio mamy z nią problem?

Strażnik: - Masz szczęście gówniarzu... – odparł po dłuższej chwili zastanowienia. – Z resztą głupi zawsze je mają...

Chciałem coś odpowiedzieć, ale pewnie narobiłbym sobie jeszcze większych kłopotów. „*Dobra, koniec tej stołówki! Teraz do roboty!*” – krzyknął strażnik, który uspokoił tego narwańca. Otworzył jedno z drzwi, jednocześnie mówiąc: „*Dobra szczury! Teraz możecie wyjść na świeże powietrze...*” Dopiero teraz zerknąłem na to, co robiła reszta osób. Najwidoczniej dawno przestali się już bić i zwrócili swoją uwagę na poczynania strażników. Ponieważ „przedstawienie” się skończyło, zaczęli wychodzić wskazanymi drzwiami. Wstałem i dogoniłem ich. Na zewnątrz było bardzo jasno. Słońce aż oślepiało swoim niemiłosiernym blaskiem. Dodatkowo uderzyła fala gorącego powietrza. Niedawno co wyszedłem, a już miałem dość tego żaru. Dookoła nie było żadnego skrawka zieleni. Teren był ogrodzony siatką z drutem kolczastym. Znajdowało się tutaj pięć budynków. Wszystkie były z betonu i miały chyba za sobą kilkadziesiąt lat. Te obiekty znajdowały się chyba na pustyni. Świetnie... Jeżeli zamierzam stąd uciec, to czeka mnie bardzo długa wędrówka.

„*Za chwilę przyjedzie ciężarówka z zaopatrzeniem. Waszym zadaniem będzie przenoszenie skrzyń. Oczywiście, są one dosyć ciężkie, więc w pojedynkę raczej tego nie udźwigniecie. Dlatego, chociaż jesteście bandą niezgranych idiotów, macie ze sobą współpracować! Jeśli któryś z was mnie zawiedzie, pożegna się z posiłkami do odwołania*” – powiedział strażnik, który uprzednio mnie uratował. Miał około trzydziestki, a jego bardzo krótkie włosy przypominały mi wojskowego. Coś było z nim nie tak, bo nie pasował do reszty osób, które były prawdopodobnie bandytami. Inni strażnicy zwracali się do niego „kapralu” i raczej wyglądało to na ksywkę, a nie stopień. Rozmyślenia przerwał dźwięk warkotu gdzieś w oddali. Zza niewielkiego wzgórza było widać unoszący się pył. Po chwili ukazała się sylwetka

nadjeżdżającej ciężarówki. Wydawało się, że jest blisko, ale zanim dojechała do bramy minęło sporo czasu. W między czasie zobaczyłem ile tu w ogóle jest osób. Naszej pięcioosobowej grupy pilnowało bezpośrednio trzech uzbrojonych ludzi. Przy bramie stało dwóch, i jeden na wieżyczce z jakąś długą bronią z lunetą. Dodatkowo przy dwupiętrowym budynku stał jeszcze jeden strażnik. I to wszyscy, którzy byli aktualnie widoczni. Szczerze mówiąc, niedużo. Ale pewnie jeden strzał i powyłażą jak karaluchy...

Stara, zardzewiała ciężarówka podjechała pod bramę. Wysiadł z niej mężczyzna z kałachem na plecach. Był ubrany w coś w stylu habitu, szaro-brązowe płótno i zakapturzona głowa. W dodatku nie można było rozpoznać twarzy, bo przesłonięta była jakąś chustą, czy też szalikiem. Podszedł pod bramę i powiedział coś strażnikowi, następnie ten otworzył wrota i ciężarówka wjechała na plac. Po zatrzymaniu się wszyscy czterej „Mnisi” wysiedli z pojazdu. Do jednego z nich podszedł „Kapral” i coś mu wręczył, chyba jakieś papiery. „Mnich” je przekartkował i wrzucił do kabiny pojazdu. „Kapral” podszedł do nas. „*No dobra. Teraz wasza kolej. Musicie przenieść tamte skrzynie do magazynu... Tylko ostrożnie*” – powiedział, wskazując jednocześnie jakiś budynek. „*A co w nich jest?*” – zapytał jeden z grupy. „*A to już nie wasze zmartwienie. Zamiast o tym myśleć to bierzcie się do roboty!*”

Niechętnie ruszyliśmy w kierunku pojazdu. Kiedy znaleźliśmy się przy pace, nikt nie chciał się pofatygować, by na nią wskoczyć. Po chwili podszedł do nas jeden ze strażników i powiedział: „*Ty, grubas, włącz kurwa do góry... Ale już!*” W odpowiedzi, ten się spojrzał na niego z zakłopotaniem i – choć nie wydawało się to możliwe – był po chwili jeszcze bardziej spocony. Skąd on miał tyle wody w organizmie...? Z wielką trudnością wspiął się na ciężarówkę i zaczął spychać powoli skrzynię z paki. „*Idioto, porębało cię?! Chcesz to zrzucić z takiej wysokości???* Nie wiadomo, co tam w środku jest. Może jakieś pojemniki z gazem??? Pomyślałeś w ogóle o tym, czy zamiast mózgu masz kiełbasę???” – rzucił jeden z koleśków. „*Dobra. Zamknij już ryja i mu pomóż...*” – uzyskał w odpowiedzi od kolejnej „kulturalnej” osoby. W ten sposób zaczęła się mała współpraca. Kto by pomyślał, że jest to możliwe w takich warunkach? Grubas wysuwał drewniane skrzynie a dwie osoby ją przenosiły do magazynu. W tym przypadku cały ciężar spoczywał praktycznie na mnie, bo pomagał mi jakiś chudzielec. Inaczej mówiąc, skrzynie nie były aż takie ciężkie. Nadmierne zmęczenie towarzysza zapobiegło potencjalnej rozmowie i kto wie, czy to nie uratowało mnie przed śmiercią z nudów przy wysłuchiwanie narzekań i majaczeń tego frajera. Po trzech kursach ciężarówka była już prawie pusta. W środku zostały chyba jeszcze ze dwie skrzynie. Wracaliśmy z magazynu po ostatnią, gdy usłyszeliśmy huk. Te trzy ciamajdy upuściły jedną ze skrzyń a ta się otworzyła. Po chwili spostrzegłem, że w środku, w jakiejś ściółce, są granaty... Uff... Dobrze, że nie... Nagle oślepiający błysk i potężny huk rozszedł się po okolicy. Tył ciężarówki podrzuciło do góry, a dwie ludzkie sylwetki przeleciały kilka metrów nad ziemią. Fala uderzeniowa pchnęła mnie na glebę, jednak byłem tak sparaliżowany, iż nie dość, że nie poczułem uderzenia, to niczego nie mogłem zrobić i tylko bezczynnie się patrzyłem. Pokrycie paki zajęło się ogniem. Moment po tym ciężarówka znikła w kolejnej kuli ognia i ponownie mnie ogłuszyło tak, że słyszałem tylko mocne pischczenie. Podziwiałem piękny widok płomieni trawiących pojazd, z którego zostaje tylko czarny, metalowy szkielet, posyłając smolisty, gęsty dym w bezchmurne niebo. Ten widok przerwał właśnie wybiegający z płomieni i strasznie wrzeszczący „mnich”, mający na sobie płonące ubranie. Daleko nie dobiegł, bo padł po kilku metrach, a ogień nadal pochłaniał jego ciało. Spojrzałem na strażników, stojących przy bramie. Ich po prostu zatkało i nie przyszło

im do głowy, aby pomóc palącemu się człowiekowi. Po chwili doszedł do mnie smród spalenizny z palących się zwłok. Podniosłem się. Z jednego z budynków wybiegł jakiś starszy facet i zaczął wrzeszczeć:

Starszy mężczyzna: - Co za idioci! Wiedziałem, że nawet tak prostą czynność spartolą. To był zły pomysł, żeby ich używać do tego celu... Już nigdy się nie zgodzę na branie zakładników. Chyba, że na sprzedaż, albo do nakarmienia nimi psów. – „Kapral” podszedł do niego i zaczął bronić swojej racji.

Kapral: - Niech pan nie pozwoli, by ten pojedynczy incydent zniechęcił nas do brania taniej siły roboczej! Inne grupy też tak robią i dzięki temu ich bazy są szybko rozbudowywane i umacniane. I wcale nie dla tego, że mają tam specjalistów!

Starszy mężczyzna: - Co ty pieprzysz?! Nie widzisz, co się teraz dzieje? Wiesz, co nas teraz czeka???!!! Właśnie rozwaliliśmy transport „mnichów” i nie ma sposobu, by wytłumaczyć teraz, że to był wypadek! Oni tu przyjadą... I... I lepiej wymyśl, co teraz mamy zrobić...

Powiedziawszy to dowódca odszedł wkurzony z powrotem do budynku. „Kapral” zrobił głupią minę, bo najwidoczniej zrozumiał powagę sytuacji. Z kolei dla mnie to dobra sytuacja na ucieczkę. Jeżeli dojdzie do walki, to może się uda jakoś wymknąć w tym całym zamieszaniu. Mam tylko nadzieję, że nie skończy się to tak, jak ostatnim razem. Czarny „ekran” i... takie tam... Po chwili, strażnicy przypomnieli sobie o nas... dwóch. Bo reszta ich „siły roboczej” leżała zwęglona gdzieś w okolicy. Świetnie... Teraz, jak dochodzi do tych napięć, to do znęcania się mają tylko nas dwóch... Jeden ze strażników podszedł z dwoma łopatami i powiedział: *„No to zmiana planów. Bierzecie to i wykopujecie za bazą duży dół. Chodźcie za mną, to pokażę wam gdzie.”* Wyszliśmy kilkadziesiąt metrów poza teren obozu i facet wskazał nam miejsce do kopania, rysując wymiary dołu na piachu. *„Ma być głęboki na półtora metra. A teraz do roboty!”* Zaczęliśmy pracę. Kopanie szło dosyć ciężko. Mimo tego, że z wierzchu był piasek, to pod spodem zalegała twarda skorupa gliny. Trochę zajmie, zanim uda się to wykopać – pomyślałem. Mam nadzieję, że ten rów nie jest dla nas...

W trakcie roboty zacząłem rozmowę z towarzyszem – tym samym, z którym nosiłem skrzynie. Dowiedziałem się parę interesujących rzeczy. Został schwytany, gdy podróżował samemu przez pustkowie. Wyruszył z jednej osady do drugiej. Powiedział nawet, że jak będę szedł prosto w tym samym kierunku, co teraz jest do nas brama to powinienem dojść do tamtej miejscowości. Ta jest oddalona o jakieś siedem godzin marszu. Podziwiam jego zmysł orientacji. Ponoć tam ludzie są neutralni do obcych i jeżeli nie będę na siebie zwracał szczególnej uwagi (zwłaszcza w negatywny sposób) nic mi nie grozi. Po dłuższym czasie, gdy słońce zaczęło chować się za horyzontem, dół był już skończony. Niestety, mocno mnie ten wysiłek zmęczył i odwodnił. Co gorsze, podszedł do nas strażnik i powiedział, że mamy wrzucić tam wszystkie trupy. Był rozdrażniony, więc nie można nawet było próbować odmówić. Tak więc kolejne minuty mijały, a ja ciągnąłem cuchnące, zwęglone zwłoki i wrzucałem do dołu. Na koniec pozostało „tylko” zakopać rów. Byłem na tyle zmęczony, że robiłem to już jak maszyna. Odruchowo machałem i zasypywałem piachem trupy. Trudno powiedzieć, że czynność była nudna. Co mieli powiedzieć dwaj strażnicy, którzy cały czas nad nami czuwali? Cholera... Co ja w ogóle gadam?! Współczuję tym draniom, którzy mnie tu trzymają

wbrew mojej woli???!!!

Wróciłem w eskorcie do swojej celi. Tutaj przynajmniej było chłodno i wilgotno. Zastanawiałem się teraz, czy szef tej całej bandy nie każe nas rozstrzelać, bo mówił coś o tym, by nie brać już jeńców żywcem. W końcu wykonaliśmy swoją robotę i chyba jesteśmy już im niepotrzebni...

ODJAZD

Ah... Wygląda na to, że to już trzeci dzień od czasu utraty przytomności. Poprzednie nie były za dobre. W pierwszym namęczyłem się przemierzając dziesiątki kilometrów pustkowi, a następnie przeżywając w nocy... nie wiadomo nawet co. Drugi dzień skończył się dosłownie wybuchowo... No cóż. Do trzech razy sztuka. Czyżby dzisiaj czekała mnie nagroda za te wszystkie cierpienia??? Aktualnie mam wrażenie, że nie panuję w ogóle nad swoim losem. Cokolwiek robię, gdziekolwiek pójdę, to i tak zawsze wpięprzam się w jakieś kłopoty! I pewnie znowu wyjdzie tak, jak zwykle...

Nadal leżałem myśląc o różnych głupotach, a w tym czasie w lochach panowała straszna cisza, ściany ogarniał półmrok. Pojęcie czasu było bardzo subiektywne. Nie dość, że te chwile były strasznie długie, to jeszcze nie szło zapamiętać, co robiło się przed chwilą. To była istna wegetacja... Zabrakło mi czegoś do wydrapywania po ścianach ilości dni, które mi już tutaj minęły. Albo chociaż jakiejś kulki, czy też piłeczki, by móc sobie nią poodbijać od ściany...

„Wstawaj! Szef ma do ciebie pewną sprawę... Ważną sprawę.” – przerwał stojący za drzwiami strażnik, który nie wiadomo jakim cudem podszedł tak blisko nie usłyszany. O co mu chodziło? Czemu akurat do mnie??? Wstałem i poszedłem eskortowany przez dwóch strażników schodami do „stołówki”. Następnie wyprowadzili mnie na zewnątrz i przeprowadzili przez plac do innego budynku, przy wejściu, do którego stało dwóch uzbrojonych bandytów... Eee... To znaczy strażników. Przeszliśmy wąskim korytarzem, na którym był nawet dywan... i był on czysty! To chyba jedyne takie miejsce w tej bazie... Wszedłem schodami na drugie piętro i mijając następnych strażników w drzwiach wszedłem do jakiegoś pomieszczenia. Same drzwi były metalowe, może nawet kuloodporne. Na podłodze leżało kilka dywanów jeden na drugim, zajmując całą powierzchnię pokoju. Mimo wszystko odczuwało się, że jest to zwykłe magazynowe pomieszczenie przerobione na lokum szefa. Na środku stało drewniane biurko, za którym siedział starszy mężczyzna. Ten sam, który krzyczał wczoraj do Kaprała. Za nim znajdowały się trzy regały obfite w książki, pewnie nawet od dawna niedotykane. Całe pomieszczenie oświetlała teraz tylko jedna lampa, stojąca na blacie biurka. Obok niej, tuż przy samym szefem leżał jakiś poźółtkły zeszyt z zapiskami.

Szef: - Powiem wprost – zaczął nie witając się nawet ze mną. W końcu, kto by się przywitał ze swoim niewolnikiem? – Chcesz żyć – robisz, co każemy. Odmawiasz – giniesz. Rozumiesz?!

Ja: - Tak...

Szef: - Właśnie zbliża się do nas konwój. Nie mamy szans na obronę przed nimi. Oni jeszcze nie do końca wiedzą, co się tutaj stało. Ale zapewne szybko nadrobią tę zaległość. A kiedy już tu będą, to nie oszczędzą nawet tych biednych budynków...

Ja: - A kim oni w ogóle są???

Szef: - Tego nie musisz wiedzieć. Wyglądają jak ci, którzy przywieźli skrzynki. My mieliśmy dużo szczęścia i mamy dwie... powiedzmy sprawne ciężarówki. I teraz pojawiają się dwa problemy. Pierwszy to olej napędowy, bez którego nie zajedziemy zbyt daleko. Poza tym ogólnie paliwo

jest bardzo trudno dostępne. Zresztą tak jak sprawne pojazdy. Dlatego, jeżeli spotkamy po drodze bandytów, lub coś tego pokroju, to na pewno będą chcieli te ciężarówki zdobyć. I dlatego ty pojedziesz pierwszy. Mam nadzieję, że umiesz kierować ciężarówką???

Ja: - Nie... Chyba. Nie wiem.

Szef: - Jak to kurwa nie wiesz???

Ja: - Po prostu... Nie umiem... raczej.

Szef: - No to się nauczysz. Przecież to nie problem?

Ja: - Eee... Zobaczymy...

Szef: - Obok ciebie będzie siedział jeszcze jeden z naszych. On będzie mówił, którędy jechać. I nie jedyny zna trasę. Dlatego, nie zależy nam na nim. Naszym celem jest pewna daleka miejscowość. Mamy tam parę wtyczek i z ich ostatnich raportów wynika, że jest tam dosyć bezpiecznie. To chyba wszystko. A! Jeszcze jedno... Weźmiesz ze sobą jeszcze trochę osób. Bo w drugiej ciężarówce będzie ciasnota i z tym całym sprzętem to trudno będzie zmieścić wszystkich ludzi. Wyruszamy za kilka godzin, więc szykuj się.

Ja: - W jaki sposób mam się szykować???

Szef: - Zjedz coś i, co najważniejsze, naucz się jeździć tym cholerstwem...

Po tych słowach opuścił głowę i zaczął coś pisać w swoim zeszycie. Zrozumiałem, że to już koniec rozmowy. W tym momencie jeden ze strażników otworzył drzwi. Chyba powoli szykuje się dla mnie okazja. Zwłaszcza, że będę jechał z przodu. Najgorsze jest to, że coraz bardziej zaczynam mieć mieszane odczucia, co do potrzeby ucieczki. Czym dłużej przebywam z tymi bandytami, tym bardziej stają się dla mnie grzeczniejsi. Albo to ja się przyzwyczajam to tych warunków... W obydwu przypadkach ucieczka powoli zaczyna tracić sens. Myśląc w ten sposób wyszedłem z budynku, nadal w obstawie dwóch strażników. Wróciłem do budynku stołówki. Tam przy stole stał chudzielec, który pomagał mi nosić wczoraj skrzynie. Jadł właśnie jakieś mięso z wiadra. Pewnie niczego lepszego tutaj nie znajdę. Podszedłem do niego, czy raczej do jedzenia. Ten tylko patrzył się na mnie. Te dziwne spojrzenie powstrzymywało mnie od wypowiedzenia choćby pojedynczego słowa. Sięgnąłem więc ręką po mięso. Nie wyglądało apetycznie, a sam aromat jakby mówił „*nie jedz, bo pożałujesz*”. Praktycznie nie mając wyboru zacząłem konsumpcję tego... czegoś. Mimo prób nie mogłem się powstrzymać od wyobrażeń, z czego to mięso zostało zrobione. Po krótkich myślach kanibalistycznych szybko przeszedłem na inny temat do rozważania. Mianowicie, brzmiał on, czy nie ma tam jaj robaków. I wyobraziłem sobie, że muszę się z jakimiś robakami dzielić posiłkiem...

Chudy: - Co oni chcieli od ciebie???

– przerwał moje rozważania towarzysz, mówiąc szeptem.

Ja: - ... Jest mały problem. Chyba ci, którzy zginęli przez przypadek w wybuchu... Mam na myśli tych „Mnichów”. Ponoć za jakiś czas ich frakcjami ma nas zaatakować.

Chudy: - Jak to???

Przecież wszyscy zginęli?!

Ja: - Ale wygląda na to, że byli członkami jakiejś grupy. I ta grupa tu przybędzie i to nie w celu rozmowy z nami. Po prostu zgładzą nas i potem zaczną się zastanawiać, co tu się tak naprawdę stało.

Chudy: - Eee... Podróżuję w tych okolicach od samego wybuchu i nigdy, tak naprawdę, nie słyszałem o jakiś tam „Mnichach”...

Ja: - A ja wątpię, żeby to była nieprawda. Oni mieli ciężarówkę... Zresztą widziałeś, co było w skrzyniach. W związku z tym, nie sądzę, aby to była jakaś mała grupa osób. No i... Po prostu wyjeżdżamy stąd za jakiś czas.

Chudy: - Aha...

Po dłuższej chwili ciszy doszedłem do wniosku, że rozmowa właśnie się zakończyła. Skończyłem akurat jeść, czy raczej miałem już dość tego smaku, bo w wiadrze nadal było to mięso. Nadeszła chwila na szybką naukę jazdy ciężarówką. W związku z tym zacząłem wychodzić ze stołówki. I teraz mi się przypomniało, dlaczego poprzednia rozmowa była jakaś dziwna. No i Chudy na początku jakby nie chciał zacząć rozmawiać. A to wszystko dlatego, że za mną cały czas chodził jeden ze strażników. Co prawda wcześniej było ich dwóch, ale jeden z nich gdzieś najwidoczniej sobie poszedł. No i pojawił się problem. Nie wiem, gdzie stoją te ciężarówki. Po chwili strażnik, widząc mnie rozglądającego się po terenie, skapnął się, o co mi chodzi. Powiedział tylko „*Chodź za mną...*” i podążyłem za nim. W bazie stał ceglany budynek, który od niewidocznej do tej pory strony miał bramy roletowe. Weszliśmy do środka. To był jeden wielki garaż z dwoma kanałami do napraw. Na boku stały dwie stare ciężarówki typu Robur. Obydwie były w malowaniu z kamuflażem pustynnym. Widać było, że w ciągu swojego „życia” dużo już przeszły. Świadczyła o tym wszędziebyśka korozja, a także dziury po kulach na karoserii. W niektórych oknach z kabiny było widać potłuczone szyby, posklejane jakąś taśmą. Pojazd wyglądał jak wrak, ale silnik zapewne był sprawny. Strażnik otworzył drzwi od strony kierowcy i kazał wejść do środka. Sam zajął fotel pasażera. Wnętrze było całe w brudzie. Wszędzie był jakiś piach i kurz. Trzeba było także uważać na kawałki szkła z potłuczonych wcześniej szyb. Po podłodze walały się nawet łuski. Gdy przyjrzałem się dokładniej, dostrzegłem zaschnięte ślady krwi na drzwiach od wewnątrz. Kiedy strażnik zajął już swoje miejsce, powoli wytłumaczył mi funkcje różnych elementów w kabinie. Powiedział też, że ponieważ mają stosunkowo mało paliwa, nie pojeżdżę sobie za długo.

Uruchomiłem silnik zgodnie ze wskazówkami. Drzwi od dużego garażu otworzyły się i wyjechałem powoli na zewnątrz. Miałem straszne wrażenie, że kiedyś jeździłem już podobnymi pojazdami. Po prostu nie była to teraz nauka nowych rzeczy, ale przypominanie. Uświadomiłem sobie jak łatwo mi to idzie i powoli nabierała mnie ochota na sforsowanie bramy. Czyżby to była moja szansa??? Tylko jak mam sobie poradzić ze strażnikiem siedzącym obok mnie. Nie... Jeszcze nie czas. Poza tym, gdzie ja bym jechał? Co prawda Chudy mi opowiedział o tamtej miejscowości, ale nie mam pojęcia, ile paliwa pozostało w baku. Pewnie starczyłoby mi na kilka, kilkanaście kilometrów, a resztę to już na piechotę... Tylko, co będzie, jak spotkam „Mnichów”??? W końcu oni się tutaj zbliżają... Sam sobie z nimi nie poradzę. Tym sposobem odszedłem myślami od próby ucieczki. Strażnik stwierdził po chwili, iż nie ma sensu dłużej jeździć, bo i tak wystarczająco dobrze to robię. Kazał za to podjechać pod budynek magazynu w kompleksie. Kiedy już to zrobiłem, przyjechała także druga ciężarówka. Dookoła krzątało się mnóstwo osób. Większość z nich nosiła jakieś przedmioty typu skrzynie, beczki, a czasami nawet maszyny i wsadzała je do któregoś ze stojących pojazdów. W bocznym lusterku zauważyłem jak prowadzą Chudego

do mojej ciężarówki. Za nim wsiadło jeszcze ze czterech uzbrojonych w długą broń strażników. Nie zapowiadało się to dobrze. A powiedzieli, że w pierwszym pojeździe będzie mało osób. No... Chociaż... Porównując z drugim pojazdem tutaj jest ich mało, bo tam wlaźło chyba kilkunastu facetów. Cały czas trzymałem kierownicę. Nie wiem, jakim cudem, nagle znalazłem się na jakiejś drodze w zniszczonym mieście. Na szczęście środek jezdni był przejezdny, w przeciwieństwie do pobocza, gdzie stały zniszczone pojazdy i gruzy. Jechałem... A raczej pędziłem... Byłem w jakimś dziupie. Wyglądał na dosyć nowoczesny. Dopiero teraz przestało mi pisać w głowie i udało mi się usłyszeć liczne strzały... Nieprzerwanie... Słyszałem jak pociski trafiają pojazd. Ten charakterystyczny dźwięk uderzeń w metal i tłuczenia szkła. Spojrzałem na fotel pasażera. Siedział... O kurde... Właściwie leżał na nim jakiś żołnierz... czy raczej osoba w zakrwawionym mundurze wojskowym... Pustynne maskowanie... Cały zakrwawiony. Ledwo miał siłę spojrzeć na mnie. Udało mu się wypowiedzieć: „Musimy się... musimy przedo... przedostać na zewnątrz... Za... barykadę... Szybciej...”. Dwoma rękoma tamował ranę w okolicach brzucha... Popatrzyłem się za siebie. Na tylnych fotelach siedział jeden żołnierz z zabandażowanym ramieniem. Cały czas krótkimi seriami strzelał przez wybite okno. Obok niego leżały dwa trupy... Mnóstwo łusek i wszystko we krwi... Boże... Nagle usłyszałem odgłos klaksonu i z powrotem znalazłem się w kabinie Robura. Co to było w ogóle??? Zasnąłem, czy co??? Chociaż... To było takie realistyczne i mam wrażenie, że przeżyłem to już wcześniej... Deja vu?

Strażnik siedzący obok mnie kazał mi podjechać pod bramę. Zapytałem „Już???” , nie mając pojęcia, że tak szybko wyruszamy. Strażnik nic nie odpowiedział. Zacząłem powoli jechać. Baza była już pusta. Wszyscy ludzie byli załadowani do dwóch ciężarówek. Chyba, że się mylę... W każdym razie, po chwili znalazłem się już przed bramą. Strażnik siedzący obok mnie otworzył drzwi i wyskoczył z pojazdu, następnie podszedł do bramy przesuwając jej wrota w bok. Po chwili znalazł się z powrotem na swoim fotelu i wskazał kierunek, w którym miałem ruszyć. Ten facet był dosyć dziwny. Nie wiem, czy tylko przy mnie, ale komunikował się ze mną prawie tylko gestykując. Z jego strony często słychać było chrząkanie, a z rzadka odzywał się swoim chropowatym głosem, który był chyba wynikiem intensywnego spalania papierosów jeszcze przed „Wielkimi Wybuchami”... Przynajmniej takie określenie pasowało do tej paskudnej scenerii, obrazując i przekazując wszelkie uczucia. Szczerze mówiąc, bardziej podobało mi się stwierdzenie „jesienne grzybobranie po obfitych opadach głowic”. Ten gatunek „grzyba”, jaki „wyhodowała” ludzkość, w poprzednim stuleciu szybko i niekontrolowanie rozprzestrzenił się na całą kulę ziemską. Wracając do tematu strażnika, wyglądał on niepozornie: mała, chuda postura, starszy wiek. Ale nie miałem zamiaru przekonać się, jakie zyskał doświadczenie w przeciągu ostatnich lat. Z resztą było widać, że mimo swojego wieku ma dużą sprawność fizyczną, a jego ruchy nadal są pełne energii.

Po dłuższym czasie pokonywania praktycznie niezmiennego się otoczenia, na pustyni pojawił się prosty, ciemny, szary wężyk. Powoli przeistaczał się on w dwupasmową, popękaną ze starości szosę. Część tej drogi była zasypana piachem w skutek naniesienia go przez wiatry. Strażnik kazał mi na nią wjechać. Ulica wydawała się dosyć prosta – nie miała ostrych zakrętów. Po chwili dostrzegłem jakiś szary pas wychylający się znad horyzontu. Po upływie około półgodziny mogłem już stwierdzić, iż jest to po prostu las... A raczej szare, zeschnięte drzewa bez liści. Tuż przed lasem pojawiła się polana z nawet dosyć wysoką, pożółkłą trawą. Przetrwała dzięki cieniom pni drzew, które chroniły ją przed bezlitosnymi

promieniami słońca. Stwierdziłem, że teren ten leży daleko od miejsc, w które trafiły bomby. Oprócz samych drzew zaczęły się także pojawiać wzgórza. Słońce powoli zachodziło. Cień licznych pni wpadał przez wybitą szybę mojej ciężarówki i tym sposobem przechodził do moich oczu. To zjawisko było bardzo denerwujące, ponieważ błysk słońca mrugał mi przed oczyma. Dodatkowo oślepiały odbłyски promieni słonecznych, które pochodziły z popękanych kawałków szkła na krawędziach okna. Po jakimś czasie i nie wiem, jakim cudem, przyzwyczałem się do tych błysków, tak samo jak do szumu opon i głośnego warkotu silnika. Mimo tego, odczuwałem objawy udaru słonecznego. Twarz była usmażona, a głowa bolała piekielnie. Pieprzone słońce...

Głośny huk przerwał rozważania na temat mojej choroby. Zaczęło mi pisać w uszach. Pojazd zaczął samoczynnie skręcać w prawo na pobocze. Na szczęście nie przewrócił się na bok, ale tkwił w rowie. W popękany lusterku zauważyłem jakieś światło. Gdy przyjrzałem się dokładniej, zauważyłem płomień, które pojawiły się na boku mojego pojazdu. Z dużą prędkością minęła mnie druga ciężarówka. Jej ucieczka nie trwała długo, bowiem szybko dogoniła ją jakaś rakietka. Ta wleciała do środka, i jakimś cudem, mijając liczny sprzęt i ludzi, trafiła w tył kabiny. Pojawiła się kula ognia i dymu. Dookoła porozlatywały się odłamki pojazdu. Kompletnie mnie sparaliżowało, zwłaszcza, że na ulicy leżały kawałki ludzkich ciał... Kurwa... Strażnik, siedzący obok mnie, krzyknął, abym szybko wycofał i uciekał. Początkowo chciałem wysiąść z pojazdu, ale szybko oprzytomniałem i wrzuciłem wsteczny bieg. Koła zaczęły grzęznąć w ziemi, ale po mocniejszym wciśnięciu pedału gazu, pojazd ruszył z warkotem do tyłu w chmurze czarnego dymu. Zza drzew i pagórków wyłonił się jacyś ludzie... Mieli coś w rękach, chyba broń. Ręce zaczęły mi się trząść, ale szybko ruszyłem do przodu... Jak najszybciej. Usłyszałem kolejne huk. To były dźwięki wystrzałów, a jednocześnie pojawiły się zgrzyty uderzanej przez pociski karoserii. Strażnik głośno jęknął i po chwili poczułem coś mokrego na twarzy... To była krew... Chwilowo zerknąłem na niego. Nie było dobrze. Jedna z kul przeszła przez szybę w drzwiach i trafiła go w głowę. Mężczyzna, nie mając zapiętych pasów, padł bezwładnie na mój bok. Na jezdnię wybiegł nagle jakiś koleś z kałachem w rękach i sieknął serią w moją stronę. Poczułem klucie w lewym ramieniu i osunąłem się lekko w bok, cały czas trzymając w rękach kierownicę, oraz podtrzymując pedał gazu. Popękane kawałki szkła posypały mi się na ciało. W dalszym ciągu miałem w oczach widok uprzednio strzelającego do mnie człowieka... Miał skórzaną czarną kurtkę i niebieskie jeansy. Jego głowa była obciążona na tyso. W tym momencie usłyszałem mocniejszy szum. Udało mi się jakoś podnieść i zauważyłem, że mój pojazd zaczyna ponownie zjeżdżać na pobocze. Szybko jednak poprawiłem kierownicę i zacząłem po prostu spieprzać... W lusterku zauważyłem grupę ludzi wybiegających na środek szosy i strzelających w moim kierunku. Byłem już coraz dalej. W końcu wjechałem w zakręt i przeciwnicy znikli za górką. Przypomniało mi się, że nadal spoczywają na mnie zwłoki strażnika. Odruchowo pchnąłem je w bok. Niestety, drzwi były już stare i otworzyły się pod jego ciężarem. Trup wyleciał z ciężarówki i padł na ulicę. Nie mogłem się zatrzymać... Pędziłem dalej...

PO BURZY

W końcu pojazd zaczął samoczynnie zwalniać, a następnie szarpać. Trudno było nazwać to jazdą, bo ciężarówka właściwie toczyła się po ulicy, aż wreszcie stanęła. Wreszcie po całym tym zamieszaniu zapadła kompletna cisza. Chwilę jeszcze siedziałem nieruchomo i próbowałem jakoś pozbierać myśli do kupy. Rozejrzałem się przez okna po okolicy. Słońce, zabarwiając nieliczne chmury na pomarańczowo, zaczęło powoli znikać gdzieś w lesie. Droga przede mną była pusta, aż do odległego zakrętu. Przez dosłownie chwilę miałem myśl, by spojrzeć na siedzącego obok mnie strażnika... Jednak po nim została już tylko plama krwi i otwarte drzwi. Chwyciłem się za twarz, próbując zetrzeć krew, lecz jej resztki nie chciały zejść. Byłem mocno zmęczony. W tym momencie coś puknęło dwa razy w drzwi. Cholernie mnie to wystraszyło i nie miałem odwagi się nawet odwrócić. Jednak ich niespodziewane otwarcie zmusiło mnie do tego spojrzenia. Przed moimi oczami pojawił się koleś z pistoletem w ręku... Zaraz... Przecież to Chudy! Dla mnie była to wielka ulga. Chciałem coś powiedzieć, ale... Po prostu nie mogłem. Miałem jakby jakąś blokadę.

Chudy: - Udało nam się – przerwał niezręczną ciszę kolega.

Ja: - Co??? – odpowiedziałem trochę jeszcze zmieszany.

Chudy: - No... Uciekliśmy...

Ja: - ...Tak jakby. A co ze strażnikami???

Chudy: - Dwóch przeżyło, ale jeden jest poważnie ranny i nie sądzę, aby był w stanie przetrwać noc... Gadam jakby mi w ogóle na nich zależało...

Ja: - Zastanawia mnie jedna rzecz...

Chudy: - Ta...???

Ja: - W zasadzie wszystko niby jest w porządku, ale perspektywa przemierzania nieznanymi terenami w dwie osoby nie jest dla mnie zbyt przyjemna. Zwłaszcza, że zbliża się noc, a nie sądzę, aby tamci o nas zapomnieli.

Chudy: - Co ty znowu kombinujesz? Czym mniej osób, tym łatwiej przejść niezauważenie. W ten sposób działam sam i, jak widzisz, nadal jakoś żyję.

Ja: - Ale... Wiesz, że tamci dwaj mogą się nam jeszcze przydać?

Chudy: - Aha... Masz rację. Będą tu siedzieć i odciągną uwagę, gdy będziemy uciekać.

Ja: - Nie o to mi chodzi. Nie mam pojęcia, co zrobimy, kiedy wreszcie będziemy w jakiejś osadzie. Może oni mają tam jakieś znajomości...? Albo... Po prostu jakoś głupio mi ich zostawiać.

Chudy: - Chyba zapomniałeś, przez co przeszliśmy! – Chudy zaczął się powoli denerwować.

Ja: - To nie zmienia faktu, że nadal są ludźmi. Poza tym dodatkowa para oczu. No i myślę, że jak tamtemu pomożemy, to się nam odwdzięczy.

Chudy: - Przecież on jest ciężko ranny! Mamy go nieść?! Tamci nas dogonią, zanim zdążymy jakieś nosze zrobić...

Ja: - Muszę chociaż zobaczyć, w jakim on jest stanie. To naprawdę trzeba przemyśleć...

W tym momencie wyskoczyłem z pojazdu i dopiero teraz klucie w ramieniu przypomniało mi o ranie... Jasna cholera... Co za ból! Wziąłem parę wdechów i poczułem przyptyw sił. Dobrze jednak by było usunąć obce ciało z mojego organizmu. Najbliższa klinika jest zapewne bardzo daleko... Chwila... Jaka klinika??? W każdym razie, jestem zdany tylko na siebie, a zadanie wyciągnięcia kuli przypada mnie. Po szybkim wymacaniu ramienia stwierdziłem, że pocisk przeleciał na wylot, zostawiając tylko dziurę. Wygląda na to, że kości są całe i nigdzie nie straciłem czucia. Przydałyby mi się jakieś środki przeciwbólowe. Ta... Kolejna niemożliwa do znalezienia rzecz... Chudy zaczął iść w stronę tyłu ciężarówki. Ruszyłem za nim... Plandeka praktycznie nie istniała – była spalona. Zostały także poskrzywane kawałki rur, które wcześniej ją podtrzymywały. Zauważyłem stojącego wewnątrz strażnika... Rozmawiał z kimś. Udało mi się wskoczyć z tyłu na pakę, chociaż bolące ramię znacznie mi to utrudniło. Pierwsze, co na mnie zrobiło wrażenie, to okropna woń spalonych ludzkich ciał, które były dodatkowo porozrywane. Na samym końcu, tuż za uprzednio zauważonym stojącym mężczyzną, siedział, czy raczej leżał, drugi strażnik. Mocno krwawił. Pod klatką piersiową przebiegał przemoknięty opatrunek. W pojeździe znajdowały się także kawałki różnych przedmiotów, oraz jedna lekko zniszczona skrzynia. Mimo tego syfu, najbardziej zainteresowałem się właśnie jej zawartością. Podniosłem pokrywę. Mhmm... W środku znajdowały się kałachy wraz z pełnymi magazynkami.

Strażnik: - Co się na to gapisz??? – przerwał mój zachwyty stojący przede mną strażnik.

Ja: - Ale jesteś miły... Tak się odzywasz do osoby, dzięki której nadal żyjesz? – powiedziałem nadal nie odwracając w jego kierunku głowy.

Strażnik: - Ta skrzynia jest moja... I nic ci do niej! – rzucił jeszcze agresywniej.

Ja: - I co z nią takiego zrobisz??? Sprzedasz?! Powodzenia, bo będziesz ją musiał przetaszczyć przez las. Niech zgadnę ile jeszcze jest do najbliższej miejscowości??? Hmm...

Ranny: - Zamknijcie się już!

Strażnik: - A ty skąd masz nagle tyle energii??? Przed chwilą mówiłeś, że umierasz!

Ranny: - Bo się wykrwawię, jak mi nie pomożecie! Sam daleko nie zajdę... Poza tym na pewno wam się przydam!

Ja: - Ta... Nie skręcimy sobie kostki w biegu przez las, bo będziemy wlec ciebie...

Ranny: - Bardzo śmieszne... Znam się... Na... Yyy... Elektronice! Teraz trudno znaleźć dobrego elektronika...

Ja: - A jeszcze trudniej sprawne urządzenie... A ciekawe co z zasilaniem???

Ranny: - Chyba mnie tu nie zostawicie???!!!

Strażnik: - Zaczynasz już mnie denerwować!

Ranny: - Słuchajcie! Naprawdę jakoś się wam odwdzięczę... Jak tylko nadejdzie okazja.

Strażnik: - Dobra... Koniec tego! – powiedział strażnik wyjmując swój pistolet z kabury i celując do rannego.

Ja: - Ejejej... – krzyknąłem ściągając w dół wycelowaną przez faceta broń, by ranny nie był na linii strzału. Strażnik zrozumiał mój ruch jako próba odebrania pistoletu i nagle jego łokieć uderzył z impetem w moją twarz... Poleciałem do tyłu, na szczęście zwłoki, na których spocząłem,

zamortyzowały upadek.

Strażnik: - O ty mały skunksie... – powiedział zdenerwowany strażnik wycelowując we mnie swoją broń.

Chudy: - Rzuć broń! – usłyszałem za sobą krzyk Chudego.

Ja: - Rozwal go!!! Próbował nas zabić... On jest niepoczytalny! – W tym momencie nastąpiła cisza. Strażnik i Chudy stali praktycznie nieruchomo celując do siebie z pistoletów. W tle można było usłyszeć szum wiatru. Robiło się coraz ciemniej, a słońce było już niewidoczne. Nagle z bliska padł głośny strzał. U strażnika na klatce piersiowej pojawiła się czerwona kropka... Dziura. Od razu po huku opadł w dół, upuszczając swój pistolet. Siedzący na końcu ranny miał wyciągniętego kałacha. Wyglądało na to, że to on strzelił. Po chwili bezruchu podczołgałem się do leżącego strażnika. Był martwy. Pocisk trafił chyba w serce i przeleciał dalej przez ciało wylatując gdzieś poza ciężarówkę.

Chudy: - Świetnie...

Ranny: - Co??? Tak było najlepiej! Pomogłem wam i mam nadzieję, że wynagrodzicie mi to.

Chudy: - A może by mi się udało namówić go do odłożenia broni???

Ranny: - To ma być wdzięczność??? Przecież on mógł cię zabić!

Chudy: - Wtedy pierwszy bym strzelił!

Ja: - Jasne... Moim zdaniem dobrze zrobił. Ten koleś był niebezpieczny... Poza tym sam coś mówiłeś na ten temat.

Chudy: - A ty się zamknij! To wszystko przez ciebie. Mogłeś się nie wtrącać i byśmy nie musieli ciągać ze sobą rannego! Tamten by go zabił i po sprawie...

Ja: - Wiesz, co? Myślałem, że jesteś inny. Pewnie, jeśli to ja bym tam leżał ranny, to też byś pozwolił mnie zabić!

Ranny: - Ekhem... Ile tu jeszcze będziecie tak tu stali???

Chudy: - Stracimy tylko czas i siłę. Niech sobie tutaj leży... Zostawiamy go.

Ja: - A rób sobie, co chcesz... Ja mu pomogę. Jeżeli się to tobie nie podoba, to możesz iść sam.

Chudy: - Wiesz...? Dla mnie większą głupotą, niż bezinteresowne pomaganie rannemu, jest samotne przemierzanie nieznanymi terenami. I masz szczęście, że jeszcze chcę z tobą iść. Ale mówię... Popelniasz błąd. I cokolwiek się wydarzy, to będzie twoja wina...

Nastąpiła chwila ciszy. Chudy powoli zaczął mnie wkurzać. Nie sądziłem, że jest taki arogancki. Jednak nie byłem pewien, czy ja odkrywam jego prawdziwą osobowość, czy widzę jakąś przemianę. Podświadomie przyjąłem tę pierwszą opcję. Przed wyruszeniem należało jeszcze przejrzeć sprzęt z ciężarówki, bo coś mogło się nam przydać na drogę. Z tego powodu sięgnąłem po kałacha, który leżał w skrzyni. Ponieważ jestem wybredny, musiałem znaleźć broń w najlepszym stanie, co oznacza brak rys i zabrudzeń. Ponieważ sprzęt nie był nowy i prawdopodobnie został nabyty drogą podbojów, niemożliwe stało się znalezienie idealnego egzemplarza. Po dłuższym czasie bezsensownego przeglądania broni wreszcie znalazłem swojego ulubieńca. To, że wyglądał najładniej, nie oznaczało braku wad.

Dlatego wziąłem ze sobą sześć magazynków, wypychając nimi kieszenie spodni i wyskoczyłem z pojazdu. Chudy, widząc moje zachowanie, krzyknął: „*Co ty robisz???!!! Nie strzelaj, bo jeszcze nas ktoś usłyszy. Szabrowników pewnie nie brakuje w tym lesie. Usłyszą wystrzały i skojarzy im się to tylko z potyczką, w której ktoś ginie. Potem szybko przybiegną pozbierać, co się da i wziąć na sprzedaż...*” W połowie jego wypowiedzi wzdrygnąłem ramionami i kompletnie przestałem go słuchać. Wsadziłem jeden magazynek do broni, następnie ją przeładowałem. Charakterystyczny dźwięk, jaki wydobył się przy tej czynności, wydał mi się bardzo znany. Przystawiłem broń do prawego ramienia, wycelowałem w jedno z drzew i – będąc na wydechu – nacisnąłem spust. Pocisk został wystrzelony i uderzył w konar starego drzewa. Huk wystrzału rozszedł się po okolicy. Krótco po strzale nadal słychać było echo... Po tym, zachowałem się dziecinnie i nie bacząc na konsekwencje, strzeliłem jeszcze parę razy, marnując niepotrzebnie amunicję. Po chwili wróciłem z powrotem na tył ciężarówki, co znowu było wyzwaniem, zważając na moje obrażenia. Teraz zająłem się przeszukiwaniem zwłok. Fakt, że było to pewną formą kradzieży, ale tak na dobrą sprawę, po co martwemu te przedmioty? A tak komuś się jeszcze przydadzą. Ja, po mojej śmierci, lepiej bym się poczuł, gdyby ktoś zawdzięczał mi swoje życie, bo – przykładowo – znalazł wodę w manierce, której nie zużyłem umierając. Oczywiście, pod warunkiem, że ta osoba zasługiwałaby na swój dalszy żywot.

Zgodnie z tą ideą „pożyczyłem” sobie czarne buty wojskowe, kamizelkę taktyczną (tam też powkładałem dodatkowe magazynki), a także kaburę razem z Glockiem i trzema pełnymi magazynkami. Szkoda, że nie mieli żadnych kamizelek kuloodpornych, mogłyby się bardzo przydać. Po przeszukiwaniu zapadł już zmrok. Dzięki temu mogliśmy przemieszczać się niezauważeni przez las. Tylko, że niektórzy zapewne też korzystają z tej cechy i istnieje realna możliwość natknięcia się na jakiś konwój. Dodatkowo w nocy dobrze wychodzą zasadzki. I dlatego o tej porze wychodzą też łupieżcy, którzy nie pogardzą nawet pojedynczą sztuką broni. Chętnie też złapią żywcem ludzi. W przeciwieństwie do wieku, płeć jest nieważna (kobiety ceni się za wielofunkcyjność, często jednak powiązane z potomstwem nie tolerują śmierci swoich dzieci. Mężczyźni bywają zazwyczaj wydajni, ale wysoki poziom testosteronu czyni ich agresywnymi i skłonny do nieposłuszeństwa). Zazwyczaj starzy i dzieci zostają wymordowani, bo tacy nie są do niczego potrzebni. Zużywają tylko zapasy żywności i z ich małą wydajnością wiążą się poważne straty. Z powyższych powodów każdy człowiek ma swoją cenę i ta rzadko przewyższa trudno dostępną amunicję i broń palną.

Nadszedł czas kolacji. Pod pojazdem była przyczepiona mała metalowa skrzynka, która prawdopodobnie służyła podróżującym przez pustkowia strażnikom jako pojemnik do zapasu prowiantu. Tam znalazło się jeszcze jakieś konserwy, których data ważności została przekroczona jeszcze przed „Wielkimi Wybuchami”. Wolałem to, niż zajadanie się przypieczonymi po trafieniu rakieta ludzkimi zwłokami. Znalazłem też manierkę pełną wody, która po chwili zwiślała na moim pasku od spodni. Nie miałem ochoty rozmyślać nad pochodzeniem tej cieczy. Pojawiły się ważniejsze kwestie. Zaczęliśmy rozmowę z Chudym i rannym strażnikiem. Okazało się, że nikt nie wie, gdzie się aktualnie znajdujemy i którędy mamy iść do następnej miejscowości. Podjęliśmy decyzję, że będziemy trzymać się drogi. Ta powinna prowadzić do jakichś zabudowań i oby te były zamieszkiwane i to nie przez bandytów. Doszliśmy także do wniosku, iż powinniśmy przemieszczać się bardziej w lesie, a nie po środku drogi. W ten sposób będziemy mniej widoczni i gdy zauważymy jakikolwiek ruch,

padamy na ziemię udając rośliny. Kolejnym problemem okazał się sposób transportu rannego. Padła propozycja wykonania noszy... Ale wtedy wszyscy będziemy zaangażowani w czynność zajmującą obie ręce. I dlatego... Jak zwykle ja... Musiałem nieść rannego przewieszzonego na moim barku. Chudy miał iść zaraz z przodu i osłaniać mnie. To chyba była najlepsza opcja.

Chwilę później opuściliśmy już ciężarówkę i szliśmy przy drodze przez las. Niebo było bezchmurne, a nas błogosławiła pełna tarcza księżyca. Dzięki temu przez bezlistne gałęzie obeschniętych drzew padało światło z setek gwiazd. Byłem osłabiony przez utratę krwi i ciężar, jaki znajdował się na moich barkach. Jednak nie mogłem zrobić przerwy. Kiedyś w lesie, jeszcze przed wybuchami, nawet w środku nocy można było usłyszeć dźwięki wydawane przez ptactwo, a nierzadko też szczekanie psów ze wsi i obrzeży miast. Dodatkowo jeszcze nieprzerwana muzyka świerszczy... Efektem wprawiało to w nastrój nocnego czaru. Katastrofa wszystko zmieniła. Jedynym dźwiękiem, jaki teraz słyszałem, to był lekki szum wiatru i cichy warkot... Cholera! Z za wzgórza przed nami było słychać nasilający się dźwięk jakiegoś silnika. Od razu skojarzyłem to z ciężarówką lub nawet wozem opancerzonym. Z przed oczu zniknął mi Chudy, ale po chwili usłyszałem jego szepczący głos: „Padnij idioto!” Na początku chciałem wyrazić pretensje ze względu na obraźliwy wyraz, jaki użył w stosunku do mnie, ale nie było sensu teraz dyskutować na taki temat. Kucnąłem i odłożyłem rannego strażnika na ziemię, a sam położyłem się za pobliskim kłębem trawy. Wszyscy trzej leżeliśmy nieruchomo obserwując uważnie ulicę. Po czasie z przodu znad wzgórza pojawiła się duża, ciemna sylwetka, a zaraz za nią kolejna. Obydwa obiekty były wielkimi ciężarówkami i pędziły ulicą z ogromną szybkością. Nie wiem, jakim cudem tak szybko jechali nie mając włączonych jakichkolwiek świateł. Jakieś cholerne mutanty, czy co??? W każdym razie wątpię, aby mieli sprawne noktowizory. Po chwili oba pojazdy znikły za horyzontem, a ja nadal leżałem. Dopiero, gdy zauważyłem wstającego Chudego, wziąłem z niego przykład i podniosłem się na nogi. Spojrzałem na towarzysza zadając mu pytanie: „*Wiesz, kim oni mogli być???*” Chudy tylko wzruszył ramionami i zaczął iść do przodu. Spostrzegłem, iż strażnik próbował wstać o własnych siłach, podpierając się jakoś rękami. Podbiegłem i pomogłem mu. Powiedział, że nabrał trochę sił i może iść, ale nadal muszę prowadzić go, bo sam nie utrzyma pionu.

Gdy minęliśmy wzgórze, zza którego pojawiły się tamte ciężarówki, naszym oczom w oddali ukazało się światło. Droga szła w dół zalesioną doliną, by po około czterech kilometrach znów znaleźć się na wzniesieniu. W samej głębi były widoczne płomienie wychylające się z małego zabudowanego obszaru. Trudno było stwierdzić, czy jest to stara wioska, czy jakiś duży opuszczony zakład. Od razu założyłem, że te dwie ciężarówki – czy raczej ich załoga – były sprawcami widocznych na dole płomieni. Ciekawe, czy ktoś tam przeżył?

Teraz podróż była prostsza, bo schodziliśmy po zboczu. Zastanawiałem się, czy w ogóle wizyta w tej zniszczonej lokacji będzie dobrym pomysłem. Szczególnie brałem pod uwagę dwa szczegóły. Pierwszym z nich było to, iż szliśmy z kierunku, w którym udały się tamte dwa pojazdy. Jeśli faktycznie oni byli najeźdźcami, to potencjalni ludzie mogą uznać nas za napastników i – zanim zadadzą pytanie – otworzą do nas ogień. Kolejną rzeczą było to, że będziemy dla nich obcy. No cóż... Nie wiemy, gdzie jest inna miejscowość, a nasz kolega potrzebuje pomocy medycznej. Mówiąc inaczej, nie mamy dokąd iść, tak więc warto zaryzykować i tam zajrzeć. Z drugiej strony, ludzie po ataku mogą potrzebować naszej pomocy.

I to nas może z nimi zjednoczyć...

Gdy byliśmy już na dole doliny, Chudy wpadł na pomysł, aby już teraz iść środkiem ulicy i nie wyglądać na osoby, które się skradają. Miał rację, ale po chwili dodałem, aby nadal miał broń w pogotowiu i był ostrożny. A strzelać ma w ostateczności, bo nas jest tylko trzech i w ten sposób zwrócimy na siebie uwagę. Uwaga ta była oczywiście głupstwem, bo w tych sprawach wiedział tyle, co ja. Aktualnie, lewą ręką obejmowałem rannego strażnika, w prawej zaś trzymałem karabin. Kilkanaście metrów przed nami była tablica z nazwą miejscowości. Było za ciemno i nie mogłem rozczytać napisu. Weszliśmy w zabudowania. Była to stara wioska, a stan większość budynków nie należał do najlepszego. Stało tu około kilkunastu domów. Nagle usłyszeliśmy z jednego piętrowego budynku jakiś szelest. Spojrzałem na Chudego... Wziął głęboki oddech i powiedział szeptem „*Ech... Sprawdź to, a wy tu zostańcie.*” Ruszył powoli w kierunku drzwi wejściowych. Były niedomknięte, więc wystarczyło lekko pchnąć ręką. W środku było strasznie ciemno. Towarzysz po chwili zniknął w czerni. Pokrótce usłyszałem głośnie brzęknięcie. Puściłem strażnika i wycelowałem mojego kałacha w stronę budynku. Ranny za długo się nie utrzymał i praktycznie od razu wywalił się na asfalt, bluzgnąwszy coś przy okazji. Zapanowała okropna cisza. Usłyszałem, jak szybko bije moje serce. To mnie jeszcze bardziej zaniepokoiło. Powiał lekko wiatr i drzwi z piskiem się przymknęły. Poczułem, jak po moim spoconym ze stresu ciele przechodzą ciarki... Nagle drzwi się otworzyły, a w nich pojawiła się ciemna postać z bronią w rękę. Odruchowo nacisnąłem spust, nie przycelowując uprzednio. Strzeliłem serią, a pociski uderzyły w ścianę. Osoba szybko znikła. Zaraz po tym usłyszałem krzyk:

- Kurwa!!! Nie strzelaj ty idioto! To ja!!!

Ja: - ... O cholera... Zaraz... Ja, czyli kto???

- Chudy! Chodźcie tu...

Po chwili wahania opuściłem broń i pomogłem wstać strażnikowi. Ruszyliśmy w kierunku wejścia i wkrótce znaleźliśmy się w ciemnym pomieszczeniu.

Chudy: - O mało mnie nie zabiłeś! Co to w ogóle miało być!!!?? – zaczął zbulwersowany.

Ja: - Skąd ja mogłem wiedzieć, że to ty. Był jakiś hałas i pomyślałem...

Chudy: - To już lepiej nie myśl... Po prostu wszedłem tutaj i było tak ciemno, że wlałem w jakiś garnek, czy coś...

Ja: - Mogłeś chociaż powiedzieć, że wychodzisz, albo... Albo, że nic ci nie jest. – Chudy nagle dziwnie ucichł i wychylił się, jakbym mu coś zasłaniał.

Chudy: - Widzieliście to???! – powiedział wystraszonym głosem.

Ja: - Co???

Chudy: - Tam – mówił wskazując ręką za mnie – na zewnątrz coś szybko przebiegło i... było małe. Widziałem tylko ciemną sylwetkę.

Odwrociłem się, spoglądając za drzwi. Za nimi był tylko chodnik prowadzący na główną ulicę. Spokój i cisza. Zerknąłem z powrotem na Chudego:

Ja: - I co??? Świeciły mu się oczy na czerwono i miał rogi???

Chudy: - Mówię poważnie! – odpowiedział zażenowany półgłosem. Strażnik tylko się cicho roześmiał. Po chwili dodał:

Strażnik: - Tamten garnek to chyba głową zahaczyłeś... To by tłumaczyło, dlaczego tyle czasu minęło, zanim zjawiłeś się przy wyjściu.

Chudy: - To nie było śmieszne... Czemu...

Ja: - No dobra – zacząłem przerywając mu. – Rozumiem, że nie spałeś długo i stąd ten mój sceptycyzm. No i jesteś już zmęczony, a brak światła sprzyja działaniu wyobraźni. To normalne, że coś się tobie przewidziało.

Chudy: - Wiesz, co...? – po chwili nagle go zatkało i nie dokończył myśli. Tym razem jego wyraz twarzy zrobił się jeszcze głębszy niż przy próbach tłumaczeń. Wydałem z siebie kpiące sapnięcie i spojrzałem do tyłu... .. Co to kur...? Nie zdążyłem nawet dokończyć w myślach wyrazu, bo pod drzwiami wyjściowymi pojawił się jakiś czarny obiekt. To wyglądało jak pies, jednakże coś się nie zgadzało. Z powodu braku dostatecznego oświetlenia stwór wydawał się niewyraźny. I nie sądzę, aby pomogły tu tabletki z kwasem askorbinowym. Zaraz za nim ukazały się jeszcze dwa takie stworzenia... Było słychać jakieś dziwne warczenie... W życiu takiego nie słyszałem! Aż czułem je w sercu. Strażnik puścił mnie i strzelił raz w sufit. Huk był tak głośny, że zaczęło mi piszczeć w uszach. Tynk posypał się na podłogę tuż przed dziwne stworzenia, a pył ze starego domostwa utworzył obszerną chmurę w pomieszczeniu. Po chwili wyłoniły się z niej sylwetki zbliżających się bestii. Nie potrwało to za długo, bo strażnik puścił do nich dłuższą serię. Od teraz na podłodze leżały trzy trupy. Nie wiedziałem za bardzo, co zrobić. Mimo ciekawości nie miałem na razie zamiaru podejść do zwłok. Chudy przecisnął się między nami i zaczął podchodzić, wciąż celując do leżących stworów. Gdy znalazł się tuż obok nich, sprawdził porządnym kopniakiem, czy aby nie będzie jakiejś niespodzianki z ich strony. Wyglądały na martwe, jednak Chudy dla pewności sprawdził, czy nie oddychają. Teraz byłem pewien, że jest już po wszystkim. Podszedłem przyjrzeć się stworzeniom. Nie myliłem się wcześniej. Były podobne do psów. Chociaż różniły ich wystające przy zamkniętego pyska duże kły. Miały wielki, mocny łeb, a solidne ciało było strasznie umięśnione. Z szerokich łap wystawały szpony. Ich gęsta sierść gdzieś była przerywana plamami blizn i łysin. Gdy próbowałem przypatrzeć się pyskowi, odepchnął mnie mocny smród. Było pewne, że żywią się mięsem. Doszedłem do wniosku, że zjadają się także padliną i to by wyjaśniało ich obecność tutaj... Problem w tym, że do tej pory nie spostrzeżliśmy żadnych zwłok.

Wyszliśmy z budynku. Wyglądało na to, że w wiosce nikogo nie ma. Nie mieliśmy zamiaru przeszukiwać reszty domów, co było wynikiem tej niespodziewanej wizyty, jaką złożyły nam trzy stwory. Kontakt z kolejnymi, nie dość, że jest stratą cennych naboju, to jeszcze istnieje ryzyko zostania rannym lub... Wiadomo. Będę musiał dowiedzieć się czegoś więcej na temat tych mutantów.

Kontynuowaliśmy przemarsz wzdłuż drogi, we wcześniej ustalonym kierunku. Nadal to ja musiałem podtrzymywać strażnika. Tak było szybciej, niż jakby on miał iść przy pomocy kija. Dodatkowo Chudy, który szedł pierwszy, narzucał okropne tempo. Przy takim wysiłku po niecałych dwóch godzinach wyglądałem niczym zombie, wlekący się przez nieskończony las. Odpoczynek był nieunikniony. Stwierdziliśmy, że nie możemy nocować przy samej drodze, bo jest bardzo możliwe, że ktoś także będzie ją wykorzystywał do nawigacji, a widząc okazję – czyli prawie trzy trupy – zaatakuje nas. Około dwustu metrów od drogi znaleźliśmy całkiem

ciekawe miejsce – głęboki, mały dół. Tam mieliśmy spać, by z daleka nikt nas nie dostrzegł. Mimo tego ktoś z nas musiał czuwać, gdy dwie osoby będą spały. Oczywiście był też podział na dyżury. Pierwszy był Chudy, ponieważ to on miał aktualnie najwięcej sił. Niestety strażnik nie mógł stać samemu, więc odpadł z podziału. W ten sposób ja byłem drugi, a Chudy miał mnie obudzić. Problemem było to, że nikt z nas nie miał zegarka, a trudno jest określić, ile czasu minęło. Zwłaszcza, iż wydaje się, że po pięciu minutach życia mija pół godziny nudy. Miał mnie obudzić, kiedy poczuje się mocno zmęczony. W razie czego, miałem zrobić to samo w czasie mojej warty.

Położyłem się na suchej trawie. Przed snem próbowałem prześledzić przebieg całego szalonego dnia. Minął on bardzo szybko. Jednak miałem problem przy ustaleniu, czy rzeczywiście miałem szczęście, że nie zginąłem, czy to był pech, że natrafiliśmy na zasadzkę. Pojawiły się też pytania, że napastnicy w lesie mogli być Mnichami, albo wykonywać ich zlecenie. Po chwili zrobiło mi się kompletnie ciemno.

Chudy: - Ej! Wstawaj. Pora na zmianę. – powiedział cicho towarzysz, przerywając moje prywatne chwilowe przyćmienie.

Ja: - Co??? Przecież przed chwilą się położyłem!!! – wydarłem się jak tylko mogłem.

Chudy: - Zamknij się. Strażnik jeszcze śpi...

Ja: - Jaki strażnik??? Aaa...

Chudy: - Wstawaj. Minęły już jakieś trzy, cztery godziny. Już i tak długo powstrzymywałem sen.

Ja: - Jakie trzy godziny??? Daj mi spać! Przed chwilą zasnąłem przecież.

Chudy: - Nie tak się umawialiśmy... Wstawaj kurwa! Twoja kolej. I naprawdę były to co najmniej trzy godziny! Zamienimy się jeszcze, jak jesteś taki niewyspany.

Po mocnym ziewnięciu i sapnięciu próbowałem jakoś zmusić się do wstania. Początkowo bezskutecznie, jednak po dłuższej chwili poczułem jakby powrót czucia w rękach i nogach, po czym chwiejnie odzyskałem swoją pionową, ciężko wyewoluowaną posturę. W czasie snu za misia służył mi karabin maszynowy. W końcu, pluszak w takich czasach nie przyda się, gdy napadnie cię zgraja łupieżców. No... Chyba że mają jakieś dziwne zboczenia.

Nadal było stosunkowo ciemno, a jedynym słyszalnym dźwiękiem było chrapanie rannego strażnika. Poza tym cisza... Było to strasznie niepokojące. Na początku, co chwilę rozglądałem się dookoła. Drzewa nie wyglądały na niebezpieczne, a powieki coraz bardziej ulegały grawitacji. Oparłem się o pobliski pień. Stałem tak dosyć długo, gdy spostrzegłem, że zaczyna się ściemniać. Nagle w głębi lasu spostrzegłem jakiś ruch, ale przy takim oświetleniu miałem problem z dostrzeżeniem jakiegokolwiek sylwetki. Niespodziewanie poczułem silne ściśnięcie wokół ramion, jakby ktoś mocno mnie związał metalową liną. Gdy się przyjrzałem, była to jakby ożywiona gałąź. Co to ma w ogóle być??? Kopałem w tył, gdzie był pień drzewa, jednak ten nie dawał za wygraną. W dodatku coraz silniej mnie ścisnął, aż czułem, jak mam problem przy braniu wdechu. Chciałem wołać Chudego, by mi pomógł, ale potężny ucisk klatki piersiowej uniemożliwiał mi tę czynność. W końcu nie mogłem nabrać powietrza,

a po czarnym, zamglonym lesie zaczęły latać takie fajne jasne kropki, jednak po chwili zostały zastąpione niekończącą się głębią czerni...

KAWY CZY HERBATY?

„No kurwa...!” – krzyknął ktoś niedaleko. Hałas zmusił mnie do szybkiego otwarcia oczu. Leżałem w dole w wysokiej trawie. Zewsząd otaczały mnie liczne korony drzew, a przez bezlistne gałęzie przebijały się ciepłe promienie słońca. Po powolnym wstaniu rozejrzałem się dookoła. Długo nie trwało nim spostrzegłem stojącego przede mną Chudego. Wyglądał na mocno zdenerwowanego, zwłaszcza, że miał zaciśnięte pięści. Swe niebyt przyjemne lico kierował na moje oczy. Nim zdążyłem wydać z siebie jakikolwiek głos, ruszył w moją stronę.

Chudy: - Myślałem, że jesteś bardziej rozgarnięty. Widocznie byłem w błędzie...

Ja: - To wzięło mnie tak nagle... – odpowiedziałem, próbując się tłumaczyć, zastaniając przy tym ziewnięcie.

Chudy: - Ciesz się, że jeszcze żyjesz. Dzisiaj świat nie wybacza takich błędów.

Ja: - Aj tam... Przynajmniej wypocząłem... – W tym momencie zauważyłem, że kogoś brakuje. – Gdzie jest strażnik???

Chudy: - Poszedł za potrzebą.

Ja: - Co!? Przecież jeszcze wczoraj nie mógł chodzić!

Chudy: - Nie takich cwaniaków już widziałem.

Ja: - ...a w ciężarówce to nawet umierał... – Właśnie w tej chwili z za drzewa wyszedł brakujący towarzysz. Jedną ręką zapinał jeszcze spodnie, a drugą trzymał na opatrunku. Sposób poruszania się nie wskazywał na pełną sprawność.

Strażnik: - Ach... Słyszałem, co mówiliście. To nie tak...

Ja: - Mam wrażenie, że nas po prostu wykorzystaliście.

Strażnik: - Nie no! Ja tak trochę mam... że... histeryzuję za bardzo. Z resztą widzieliście jak mocno krwawiłem. Sam się poważnie wystraszyłem.

Chudy: - Mimo wszystko i tak powinien pozbyć się ciała obcego. Jeżeli będzie zwlekał, mogą się pojawić poważne konsekwencje.

Strażnik: - Właśnie! Jeśli mi pomożecie, będziecie mogli liczyć na moją pomoc. Zwłaszcza, jak będzie wam zależało na naprawie sprzętu. Oczywiście, o ile będę miał odpowiednie narzędzia...

Ja: - Dobra już... Teraz lepiej pomyślmy, co robimy dalej. Wczorajsza podróż mocno mnie zmęczyła i wręcz zapomniałem o głodzie. Dobrze, że udało mi się znaleźć te konserwy w ciężarówce... – wspominałem wyciągając puszkę z kieszeni kamizelki taktycznej.

Strażnik: - Dobrym pomysłem byłoby to jakoś podgrzać. Mam ochotę na małe ognisko. No i mam zapałki... – odpowiedział z uśmiechem zacierając ręce.

Chudy: - Widzę kolejny genialny pomysł. Tu jest tyle suchej trawy, że las wyparuje z tej twojej pomysowości. Poza tym narobimy dymu, a to na pewno kogoś przyciągnie.

Ja: - Ma ktoś pomysł, jak to otworzyć? – wtrąciłem obracając bezsensownie puszką.

Strażnik: - Spróbuj tym – powiedział podając nóż – Może jednak warto zaryzykować z ogniem???

– wspominał wyciągając paczkę zapałek z przetartą już reklamą na opakowaniu, a następnie

potrząsnął pudełkiem kilka razy. Po tym spektaklu cisza wypełniła się wyobrażeniem ciepłej – powiedzmy – smacznej konserwy.

Chudy: - Posłuchaj... – wtrącił przerywając moje wyobrażenia. – Po tych twoich pomysłach gryzie mnie jedno pytanie... Jak ty przeżyłeś aż tyle po wybuchach? Mam wrażenie, że nie masz w ogóle doświadczenia w radzeniu sobie na pustkowiach. W dodatku zachowujesz się jak dziecko... – głośne stuknięcie przerwało ich dyskusję. Białe przeze mnie ostrze przebiło wieczko, a z puszki zaczęła wydostawać się piana.

Ja: - Mniam... – szepnąłem ironizując. Nóż był na tyle ostry, że udało mi się wyciąć niepełne kółko w wieczku, a następnie odgiąć blaszkę. Po dostaniu się do wnętrza podzieliłem zawartość na trzy stosunkowo równe kawałki. – Panowie... Smacznego! – dodałem zyskując powoli apetyt, mimo świadomości daty, do której wyznaczona była zdatność produktu. Każdy dostał po kawałku i dopiero po pierwszych kęsach strażnik powiedział do Chudego:

Strażnik: - Szczerze mówiąc, ja miałem po prostu szczęście. Udało mi się spotkać super osobę. To było oczywiście po bombach. Przemierzał zniszczone miasto i zbierał ekipę, która miała sobie wzajemnie pomagać, by przeżyć cały ten syf. Ponieważ nie miał jeszcze dobrego elektryka, przyjął mnie bez robienia problemów. A cała zabawa polegała na tym, że większość sprzętu była bezzużyteczna. Między innymi przez impuls elektromagnetyczny... No i wiadomo. Nie było skąd wziąć zasilania. Dzięki temu większość czasu miałem tylko dla siebie. Oczywiście – były obowiązkowe warty i treningi, ale ja i tak nie potrafiłem dobrze walczyć, więc cały czas byłem w bazie. A to, co robiła reszta zespołu, to tylko słyszałem z opowieści. Oczywiście, czasami przywozili jakichś rannych albo – rzadziej – ludzi do handlowania lub ciężkiej pracy.

Ja: - Ta... Mieliśmy tę przyjemność...

Strażnik: - Ale... Tak naprawdę, to mieliście wielkie szczęście. Wypadów było bardzo dużo i rzadko przywozili kogoś żywego. A jeśli już, to były to raczej kobiety.

Ja: - A co się stało z resztą osób z namiotów, gdzie mnie znaleźliście?

Strażnik: - Znaleźliśmy??? Przecież ci mówiłem, że to nie ja tam byłem, więc mnie się nie pytaj! Z tego, co sobie opowiadali, to oni raczej nie zostawiają po sobie kogoś żywego... No... Chyba, że dla zabawy przywiążą do jakiegoś słupa, aby umierał w męczarni. Czyli możesz już o nich zapomnieć... Tak będzie lepiej.

Chudy: - ...nie angażuj się nigdy emocjonalnie. Teraz to w ogóle traci sen...

Ja: - Co ty pieprzysz? Właśnie, że nie. Dzięki temu można przetrwać ciężkie chwile. Lepiej jest, jak ktoś zawsze osłania twoje plecy. Wiesz, o co chodzi?

Chudy: - Nie za bardzo... Ja jestem raczej samotnym wilkiem i – jak widzisz – dobrze sobie radzę. Strata bliskich z poprzedniego życia mi wystarczyła.

Ja: - Poprzedniego życia???

Chudy: - Tak... Zacząłem nowe... Tak jakbym się ponownie urodził. Nie wierzę już w „stare” zasady, bo straciły pierwotne wartości. Teraz liczy się tylko „ja”. Jak będziesz miał kogoś bliskiego, zawsze znajdzie się osoba, która to wykorzysta – dlatego nie licz na moją pomoc, gdy już dojdziemy do jakiejś osady. I druga sprawa... Nigdy nie przywiązuj się do któregośkolwiek miejsca. Mimo tego, że podróże są niebezpieczne, warto zmieniać lokum. Zbieraj jak najwięcej informacji o innych osadach i zawsze miej w planie ucieczkę do kolejnej kryjówki. Ataki na skupiska ludzi są nieuniknione. W końcu jest tam najwięcej bogactw. Nie znasz dnia, ani godziny...

Ja: - Mam nadzieję, że kiedyś jednak wrócą stare, dobre czasy...

Chudy: - Kwestia przyzwyczajenia... A teraz lepiej zajmij się rzeczywistością. Poza tym pora już ruszać – powiedział wstając. Wraz ze strażnikiem zrobiliśmy to samo. Chudy – nie dodając ani słowa – ruszył w kierunku drogi. Spojrzałem raz jeszcze na strażnika, aby się przekonać, czy będzie mógł iść o własnych siłach. Nie było najlepiej – wyglądało to raczej na ciągnięcie nóg za sobą – ale jakoś sobie radził. Zobaczył moje spojrzenie i od razu mnie zrozumiał. W reakcji machnął obojętnie ręką robiąc nieprzyjemny grymas.

Po chwili byliśmy już z powrotem przy ulicy. Tym razem nie szliśmy poboczem. Dzięki temu nie zmęczymy się tak szybko, brnąc przez trawy i nierówności. Szkoda tylko, że żaden z nas nie zna okolicy. Na szczęście droga jest bez rozgałęzień. Inaczej mówiąc, nie mamy praktycznie innego wyboru, niż podążać nią wprost, aż trafimy do jakiejś miejsciny. Jakimś cudem, mimo tego, że był dzień, zaczęło robić się ciemno... Ale tak naprawdę ciemno. Wręcz czarno. Nagle znalazłem się w jakiejś sali. Patrzyłem na stół. Była tam mapa – chyba jakiegoś miasta. Nie mogłem dojrzeć napisu, a sam rozkład ulic niczego mi nie mówił. Panował półmrok. Słabe oświetlenie z wiszącej nad stołem lampy zalewało bladym żółtym światłem niemalże tylko plany. Dopiero teraz dostrzegłem, że dookoła siedzieli też inni ludzie, skupieni na mapie. Nosili różne wojskowe (lub podobne) mundury. Szczególnie wyróżniała się postać, która coś przemawiała, opierając się jedną ręką o stół, a drugą pokazując punkt na mapie. Przemawiającą osobą był trochę gruby mężczyzna około pięćdziesiątki. Prawdopodobnie z przyczyny naturalnej nie miał za dużo włosów na głowie. Właśnie się na mnie spojrzał i kontynuował przemowę: *„Z kolei oddział szósty, dowodzony przez Gońca, zajmie pozycję w gruzach tego starego sklepu... Oddział siódmy – mówił dalej odwróciwszy się na gościa obok mnie – dowodzony przez Psychego ma kryjówkę w budynku byłej komendy policji. Dlaczego akurat ty? Ponoć twoi ludzie mają największego cela. Ta wolna przestrzeń będzie waszym polem do popisu – strzelcy wyborowi na górne piętra, reszta ośłania dół. Dobrze, że ten budynek jest w znośnym stanie. Kontynuując – zadaniem tych czterech grup jest zajęcie i eliminacja przeciwnika od tyłu. By tego dokonać, koniecznie musicie przepuścić wroga do centrum! Na pewno będą atakować od zachodu i przejdą obok waszych pozycji. Nie możecie się zdradzić. Dlatego też ma być cisza w eterze. Nie oddawać ani jednego strzału, aż do momentu wydania hasła „mielone raz”. Po tym kodzie konieczny jest atak na tyły wroga. Miejmy nadzieję, że się nie pozabijamy nawzajem. Uważajcie, do kogo strzelacie. No i jeszcze jedno! Mamy plan „B”. Jak wiecie, udało nam się zdobyć jedną, małą... głowicę. Nasi jajogłowi przeszukali stopy dokumentów i wiedzą już, jak to zdetonować. Jeżeli... Jeśli nie powstrzymamy ataku... I usłyszycie hasło „blask”... Będziecie mieli dziesięć minut na ucieczkę z miasta. Wiem też, że nie jest to za dużo, ale pamiętajcie – nasze rodziny będą bezpieczne. Według planu „B” – pojutrze, punkt dwunasta, musicie znaleźć się przy małym, starym bunkrze na północy. Przed samą operacją, na mapie tamtych regionów pokażę wam, gdzie dokładnie on się znajduje. Jeżeli wszystko będzie w porządku, oddział pierwszy zaprowadzi was do rodzin. A o miejscu, w którym one będą, wiem na razie tylko ja. I to powinno je uchronić. Jeżeli ktoś z was zostanie schwytany... Nie będziecie dla nich zagrożeniem... Niech Bóg ma nas w opiece...”*

Chwili później znów pojawił się widok drogi, którą właśnie szliśmy wraz z Chudym i rannym strażnikiem przez pustkowia. Cholera... To był sen na jawie, czy co? Mam wrażenie, że już przeżyłem coś takiego. To było takie realistyczne... Podobnie do tej przejażdżki dżipem z rannymi ludźmi z wczoraj... Coś w tym jest. Tylko, co to ma ze sobą wspólnego?

Przemarsz wydawał się nie kończyć. Moja rana ramienia już tylko lekko mnie bolała – najwidoczniej wzięła sobie dzisiaj wolne. My tymczasem mijaliśmy kolejne wzgórza, rozczarowując się przy każdym z ich szczytów. Co jest za nim? Następna góra! No i oczywiście wypalony przez suszę las. Jednak po kilku godzinach wędrówki natknęliśmy się na jakieś zabudowania, czy raczej ich ruiny. Wyglądało to na małe miasto. Jego obrzeża były w gruzach, jednak w środku nadal były rozpoznawalne kształty dawnych budynków. Wyglądało na to, że może być to cel naszej wędrówki. Kończyły się nam zapasy, a to mogło okazać się oazą wśród pustkowi. Miejmy tylko nadzieję, że jest zamieszkałe przez przyjaznych nam ludzi. Droga z ostatniego wzgórza szła w dół, gdzie w samym sercu doliny znajdowała się wieś. Mimo coraz mniejszej odległości do zabudowań nie było widać obecności ludzi. Szliśmy w milczeniu, mając w głowie tylko myśl o odpoczynku i o tym, co nas może spotkać, jak znajdziemy się tam – na dole.

Po – wydawałoby się – dłuższym czasie mijając pola gruzów dotarliśmy do – o ile można to tak nazwać – pierwszych zabudowań, czyli parterowych części pozbawionych sufitu kamienic. Minutę później pojawiły się wyższe pozostałości budynków, oraz zardzewiałe wraki pojazdów. Ulicę, którą właśnie szliśmy, pokrywała warstwa pyłu, gruzu i szkła. Wyglądało to jak kolejne, wymarłe miasto. W oknach nie dało się niczego zobaczyć, bo w środku było za ciemno. Mijaliśmy skrzyżowania, a widoki praktycznie się nie zmieniały. Nagle Chudy, który szedł pierwszy, zatrzymał się, spoglądając w dal. Kilkaset metrów dalej droga była kompletnie zablokowana. Prawdopodobnie ktoś ustawił barykadę. Dostrzegłem, że jej głównym składnikiem były wraki samochodów, poustawianych jeden na drugim. Tworzyło to coś w rodzaju grubego muru.

Chudy: - Nie mam pewności, czy przekroczenie tamtego stosu nie będzie płatne...

Strażnik: - No cóż... Mało mamy rzeczy na wymianę – powiedział upewniając się, że ma praktycznie puste kieszenie. – Mojej broni to ja nie oddam.

Chudy: - ...płatne życiem – dokończył pod nosem.

Ja: - A ja się zastanawiam, czy aby na pewno tam są jacyś żywi ludzie.

Chudy: - Myślę, że nasz ranny kolega pomoże odpowiedzieć na te pytanie. Po co mielibyśmy ryzykować – podsumował Chudy, niemalże przyjaźnie obejmując ramieniem strażnika.

Strażnik: - Co??? Czemu znowu „ja”?! – krzyknął odpychając rękę.

Ja: - Jakie „znowu”?

Chudy: - Bo jesteś ranny i mówisz, że z chęcią się odwdzięczysz za naszą pomoc.

Strażnik: - Ale...

Ja: - W tym przypadku zdecydowanie popieram Chudego...

Strażnik: - Ehhh... Też bym poparł, jakby mowa była o poświęceniu ciebie... – odburknął ruszając w stronę barykady.

Chudy: - Ile mu dajemy sekund?

Ja: - Sekund??? Na powrót?

Chudy: - ...życia, mój towarzyszu, życia. – odpowiedział z nieprzyjemnym uśmiechem.

Dziwnym trafem skojarzyło mi się to z radzieckim dowódcą, wysyłającym świerzaka prosto na pole minowe. Jednak Chudy zapomniał dodać, że gdy on się spróbuje wrócić, pocisk 9mm uprzejme wpadnie zwiedzić jego czaszkę. Stwierdziłem, że lepiej będzie na wszelki wypadek zejść z widoku – ze środka ulicy. W tym celu przykucnąłem za jednym z wielu wraków pojazdów. Patrzyłem, jak sylwetka strażnika powoli zmniejsza się idąc w kierunku blokady. Widać było, że mu się nie śpieszy – nawet biorąc pod uwagę jego nie najlepszy stan. Wraz ze zmniejszającą się odległością od barykady czułem wzrastające napięcie, a każdy krok „towarzysza” nie mógł ujść mojej uwadze. Usłyszałem, jak Chudy zaczął do mnie z tyłu podchodzić. Gdy dźwięk ustał, poczułem zimny przedmiot, który dotknął mojej potylicy... Co jest...?

Mężczyzna 1: - Wydaje mi się, że panowie mają coś do wytłumaczenia... – przerwał moją wewnętrzną pustkę, spowodowaną zaskoczeniem. Podniosłem ręce lekko do góry.

Mężczyzna 2: - Z chęcią was wysłuchamy! – dodał inny chropowatym głosem.

Mężczyzna 1: - Odłóż powoli broń na ziemię. Ale to po-wo-li... – dodał przesadnie wydłużając każdą sylabę tego wyrazu. Zrobiłem, co kazał. Zauważyłem jakiegoś gościa w (już nie takich) białych, sportowych butach z czterema paskami. Ubrany był w zwykłe – mocno zużyte – niebieskie jeansy i szarą luźną bluzę. Widok Kałasznikowa w jego rękach nawet mnie nie zdziwił. W dodatku podniósł jeszcze mojego z ziemi. Po chwili ktoś z tyłu sięgnął do kabury po mojego Glocka.

Mężczyzna 1: - Wstawać... Pójdziecie z nami.

Dopiero teraz miałem czas się rozejrzeć. Dookoła stało pięciu mężczyzn – wszyscy uzbrojeni. O dziwo po rozbrojeniu przestali do mnie celować. Dostrzegłem jeszcze Chudego, który – jak wiadomo – nie wyglądał w tej chwili na szczęśliwego. Facet, który wydawał nam polecenia poszedł przodem. Kolejnych dwóch szło po bokach, a ostatnia para pilnowała nas z tyłu. W tym momencie przyszedł mi na myśl nasz ranny strażnik. Jednak nie mogłem go z przodu wypatrzeć. Ciekawe, czy jego też zwinęli, czy spieprzył gdzieś w zabudowania.

Minęła dłuższa chwila nim dotarliśmy do widocznej z daleka barykady. Teraz widać było, że w okolicznych budynkach – a dokładniej w ich oknach – stoją uzbrojeni ludzie. Dodatkowo okazało się, że przejście przez blokadę prowadzi wnętrzem pobliskiej kamienicy. Wchodząc do jej ciemnego korytarza napotkaliśmy kolejnych uzbrojonych ludzi. Wbrew początkowemu wrażeniu, nie byli mocno zainteresowani naszą obecnością. Sam budynek straszył brudem i kurzem. Na podłodze pod ścianą leżało nawet trochę gruzu. Chwilę później wyszliśmy z budynku. Moim oczom ukazał się dalszy ciąg ulicy, mocno jednak wysprzątany. W oddali zauważyłem, że droga prowadzi do jakiegoś małego placu ze skrawkiem zieleni, czy raczej – modnych w tych czasach – brązu i żółci. Jednak nie to przykuło moją uwagę. Przy nich chodzili jacyś ludzie – i to nieuzbrojeni. Poczułem lekki powiew nie w pełni uzasadnionej ulgi. Wydaje się, że prowadzą tu sobie normalne życie, bez wiecznej obawy o swoje życie lub zdrowie. Mijając kolejne budynki napotkałem coś w rodzaju sklepu. W środku przez wyrwę po witrynie mogłem zobaczyć powystawiane na wystawę przedmioty.

Po chwili w milczeniu dotarliśmy do wcześniej wspomnianego placu. Kierowaliśmy się w stronę odnowionego budynku, przypominającego mały pałac. Przy masywnych otwartych wrotach stało dwóch uzbrojonych w broń długą strażników, tuż obok solidnych, przesadnie białych kolumn. Na dachu były widoczne worki z piaskiem. Po wejściu do środka zaskoczył mnie stan, w jakim było olbrzymie pomieszczenie. Kamienna podłoga połyskiwała, odbijając promienie słońca wpadające przez dziurę po brakującym fragmencie kopuły. Na obie strony rozgałęziały się szerokie kręcone schody, prowadzące na powyższą galerię. Nas jednak prowadzili gdzieś w prawo. Mijaliśmy kolejny, czysty i zarazem ładny korytarz, na którym były nawet powywieszane obrazy. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że w budynku działało sztuczne oświetlenie. Nie był to widok powszechny. Prawdopodobnie zużywali resztki ciężko dostępnego paliwa. Chyba ten, kto to wymyślił, jest już stary i niedługo odejdzie ze swych rządów, by pozostawić po sobie obraz pozornego bogactwa i porządku.

Właśnie wkroczyliśmy z korytarza do jakiegoś pomieszczenia. Był to jakby przedsionek, w którym stało kolejnych dwóch strażników. Była też stara podniszczona kanapa. Ogólnie wyglądało to na jakąś poczekalnię. Żołnierze otworzyli drzwi do następnego pomieszczenia. Facet, który wcześniej wydawał nam polecenia wszedł pierwszy do kolejnego pokoju. Reszta naszej obstawy została w przedsionku, a ich zadanie eskorty przejęło dwóch wcześniej wspomnianych strażników. Ci wepchnęli nas do środka, zaraz za potencjalnym dowódcą patrolu. Wewnątrz było stosunkowo ciemno. Błada świetlówka rzucała swe migoczące światło na blat biurka. Za nim siedzieli w garniturach trzej starsi mężczyźni, oświetleni przez wpadające z korytarza światło. Głuche stuknięcie powstałe przy zamykaniu drzwi zmusiło mnie do odruchowego spojrzenia w tył. O dziwo w pomieszczeniu nie było ani Chudego, ani naszego rannego towarzysza. Jeden ze strażników posadził mnie silnym przyciśnięciem na drewniane krzesło.

Środkowy elegant: - Co pana sprowadza do naszego, jakże pięknego, miasta? – zapytał strasznie zimnym głosem.

Ja: - Przypadek... – odpowiedziałem po dłuższym wahaniu.

Lewy elegant: - Czy chciał pan zaatakować nasze miasto?

Ja: - Co??? W trzy osoby?

Prawy elegant: - To my tu zadajemy pytania, palancie!

Środkowy elegant: - Spokojnie Andrzeju...

Lewy elegant: - Pytam raz jeszcze... Czy chciał pan zaatakować nasze miasto?

Ja: - Nie!

Środkowy elegant: - Kto panu powiedział o lokalizacji miasta?

Ja: - Nikt.

Prawy elegant: - ...a nie mówiłem, że będzie coś ukrywał?!

Ja: - Niczego kurwa nie ukrywam! Szliśmy cały czas asfaltową drogą, aż w końcu dotarliśmy tutaj. Czy to tak trudno zrozumieć?! A jeszcze wcześniej to zostałem złapany przez bandytów i służyłem im za niewolnika. Ich konwój, w którym jechałem, wpadł w okolicy w zasadzkę. Sam dostałem kulkę

w ramię. Skorzystałem z okazji i nawiałem. Rozumiecie???

Lewy elegant: - Kto zrobił zasadzkę?

Ja: - Nie wiem. Pewnie jacyś inni bandyci. A przynajmniej tak to wyglądało.

Prawy elegant: - No właśnie! Oni mogli was śledzić! Wiesz, że sprowadzacie na nas zagrożenie!?

Ja: - Nikt za nami nie szedł!

Lewy elegant: - Jesteś tego pewien?

Ja: - Tak!

Prawy elegant: - Ściemnia! Ja właśnie decyzję podjąłem. Wsadzamy go na trochę do izolatki. Zobaczmy, czy wciska nam kit...

Środkowy elegant: - Z zeznań naszych strażników wynika, że prawdopodobnie wystaliście jednego swojego na zwiad w kierunku *Azylu*... – to znaczy naszego miasta – a drugi razem z tobą go osłaniał. Pamiętam też, że byliście uzbrojeni. Jednak fakt, iż było was tylko trzech może świadczyć albo o wykonywaniu samobójczej misji zwiadowczej zleconej przez kogoś z góry, lub o niewinności i samotnym przemierzaniu tego rejonu, a także chęci znalezienia jakiegoś tymczasowego schronienia. Zakładam, że chodzi o te drugie?

Ja: - Tak. My mamy jeszcze jeden problem. Nasz kolega jest ranny i potrzebuje pomocy medycznej.

Środkowy elegant: - Myślę, że za odpowiednią zapłatą znajdziecie u nas tego, czego szukacie.

Prawy elegant: - Czyli, że co!? Chcecie go tak po prostu puścić???

Środkowy elegant: - Czasami coś jest o wiele prostsze, niż się wydaje...

Lewy elegant: - Ja też nie widzę powodu, żeby go tutaj przetrzymywać.

Prawy elegant: - No dobra... Niech wam będzie. A ty pamiętaj – powiedział nerwowo wskazując mnie palcem. – Będziemy mieli cię na oku. Jeśli zrobisz cokolwiek niezgodnego z naszymi zasadami – wylatujesz! Żywy lub martwy... – dokończył pod nosem.

Ja: - Czyli... Mogę już iść?

Lewy elegant: - W zasadzie tak. Jednak muszę cię poinformować, że w *Azylu* aby załatwić dużą część spraw, należy okazać dokument identyfikacyjny. Wszystkie ważniejsze ruchy jednostki są spisywane. Zwłaszcza ludzi z zewnątrz. Jak wyjdiesz z tego pomieszczenia, to będziesz musiał iść cały czas prosto mijając atrium. Pokój znajduje się na końcu korytarza. Tam wyrobisz odpowiedni dokument.

Ja: - A co z moimi towarzyszami?

Środkowy elegant: - Czekają na swoją kolej. Myślę, że mają nam jeszcze coś do powiedzenia.

Prawy elegant: - ...i nie myśl, że będziesz mógł ich teraz zobaczyć.

Ja: - No i ostatnia kwestia. Chcę z powrotem mój sprzęt, który mi zabraliście.

Lewy elegant: - Nie dostaniesz teraz tego. Obcy nie mogą nosić broni w mieście.

Ja: - A kiedy to dostanę?

Lewy elegant: - Jak będziesz wychodził z *Azylu*.

Ja: - Aha. W takim razie to wszystko... do widzenia.

Prawy elegant: - ...mam nadzieję, że nie będę musiał już widzieć twojej paskudnej mordy... – burknął

pod nosem. Reszta tej – jakby to nie patrzeć – komisji nawet nie pofatygowwała się mi odpowiedzieć. Wyszedłem z pomieszczenia. W poczekalni nadal nie było moich towarzyszy. Pozostało mi załatwić ten pieprznący dokument... Biurokratyczna maszyna przeżyła nuklearną zagładę niczym karaluchy. Te miasto zaczyna mi trochę przypominać przeszłość... A raczej to, co z niej pamiętam.

Po przejściu przez atrium, dalej szedłem korytarzem. Od czasu do czasu widać było nielicznych strażników. Wreszcie natrafiłem na ostatnie drzwi, na których była przyklejona plastikowa tabliczka z wykonanym markerem napisem „*Biuro Spraw Obywatelskich*”. Zapukałem do drzwi, a następnie je otworzyłem. W środku były ustawione trzy biurka. Na każdym stał komputer, za jednym z nich siedziała postać w ciemnym garniturze. Wydawała się nie zwracać na mnie uwagi, pisząc coś na jakichś karteczkach. Te komputery to kolejna ściema w tym walniętym mieście...

Ja: - Dobry... Przeszedłem wyrobić dokument identyfikacyjny.

Odpowiedzi szybko nie uzyskałem. Krawaciarz w dalszym ciągu coś pisał i chyba udawał, że mnie tu w ogóle nie ma. – Ile mam czekać? – zapytałem lekko zdenerwowany przez tę ignorancję.

Biurokrata: - Proszę mi wybaczyć, ale – jak pan widzi – jestem teraz zajęty. Proszę przyjść za pół godziny.

Ja: - Aha... W takim razie to ja poczekam tutaj, bo i tak nie mam w tej chwili gdzie iść...

Biurokrata: - Czy życzy pan sobie asysty służb ochrony?

Ja: - Nie. Sam posiedzę – powoli zauważałem zdenerwowanie u rozmówcy.

Biurokrata: - Mam wrażenie, że kpi sobie pan ze mnie.

Ja: - Nie no, skądże. Ja chcę tylko coś załatwić.

Biurokrata: - Muszę pana poinformować, że jako pracownik administracji Biura Spraw Obywatelskich mam swoje priorytety. Najpierw muszę dokończyć wypełnianie tych dokumentów i dopiero wtedy będę mógł się panem zająć.

Ja: - Ale czy ja jestem niecierpliwym? Powiedziałem, że grzecznie tu poczekam, a pan od razu...

Biurokrata: - Proszę opuścić pomieszczenie – powiedział groźnym głosem.

Ja: - Mi kazali tu przyjść i ja się stąd nie ruszę. Czemu w ogóle traci pan czas na rozmowy ze mną? Powiedziałem przecież, że poczekam. A widzę, że dokumentów jeszcze całkiem sporo.

Biurokrata: - Mhrr... Ah! Niech będzie po twojemu...

Ja: - ...pańskiemu... – poprawiłem szyderczo się uśmiechając.

Biurokrata: - ... Chciał pan wyrobić dokument identyfikacyjny...?

Ja: - Tak.

Biurokrata: - W takim razie proszę podać oba imiona i nazwisko.

Ja: - ... – Cholera! Przecież to było oczywiste, czego będą ode mnie chcieli. A ja muszę teraz wymyślać jakieś dane, by miał co wpisać do tych przeklętych papierów. – Nazywam się Daniel Polański... Daniel Mariusz Polański. – Mężczyzna powtórzył po mnie powoli sylabizując.

Biurokrata: - Gdzie pan się urodził.

Ja: - Czy to naprawdę takie istotne? – przedłużyłem sobie czas na wymyślenie jakiegokolwiek nazwy.

Biurokrata: - Tak. W jakiś sposób musimy identyfikować ludzi.

Ja: - Janków.

Biurokrata: - Janków? Nie znam. A gdzie to jest dokładniej.

Ja: - Nic dziwnego. W końcu to zadupie na dalekiej północy.

Biurokrata: - Czyli tłumacząc pana wypowiedź, jakaś mała miejscina przy samym wybrzeżu...? No nic. A pańska data urodzenia? – Kolejne przewidywalne pytanie. Mam wrażenie, że dużo się nie pomylę...

Ja: - Dwudziesty szósty kwietnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt...

Biurokrata: - ... Ja na pana miejscu urodziny świętowałbym minutą ciszy.

Ja: - Nie rozumiem...

Biurokrata: - Chyba kiepsko u pana z historią – powiedział przekazując mi tekturowy prostokąt wielkości legitymacji szkolnej i położył kartkę formatu A4.

Ja: - Tu akurat ma pan całkowitą rację. Kolejne pytanie?

Biurokrata: - Nie, ale proszę się jeszcze podpisać w odpowiednim miejscu na obu dokumentach – wskazał podając własne pióro. – Duża kartka dla mnie, legitymacja dla pana. Proszę tego nie zgubić.

Ja: - Myślałem, że dostanę jakiś druk...

Biurokrata: - Może kiedyś... Bardzo... kiedyś. To wszystko. W takim razie do... niezobaczenia.

Ja: - Jaki pan uprzejmy... Podziwiam pańskie odczucia. Żegnam.

Schowałem dokument do kieszeni kamizelki taktycznej, po czym wstałem z krzesła i ruszyłem w kierunku wyjścia. Kiedy zamykałem drzwi zdążyłem jeszcze zobaczyć jak biurokrata luzuje swój krawat robiąc jakąś głupią minę. Co za debil. Pewnie wszyscy w tym budynku tak się zachowują. W dupach się poprzewracało od tej władzy.

Minąłem główne drzwi pałacu i wyszedłem spoglądając na popołudniową panoramę *Azylu*. Moich towarzyszy prędko pewnie nie zobaczę. Nie wiadomo, czy w ogóle ich wypuszczą. Muszę przygotować się na najgorsze, znaleźć jakiś nocleg i posiłek... No i kogoś, kto będzie w stanie mnie opatrzyć. Poza tym zastanawia mnie sposób płatności w tym ich *Azylu*. Czy mają jakąś walutę, czy tylko wymieniają się przedmiotami? Czas się przekonać. Dobrze by było znaleźć jakiegoś frajera, który by mnie oprowadził po tej miejscinie. Najlepsze miejsce na takie rzeczy to bar. Ta... Tylko, gdzie on jest?

Po wyjściu z budynku skierowałem się w ulicę na lewo. Był jeszcze wybór, aby iść w prawo lub cofnąć się do barykad, jednak dobre wspomnienia z korzystania ze słońca spowodowały wybór tej właśnie drogi. Tłoku brak, ale nie trudno było zaobserwować, że mieszka tu z kilkaset osób. Postanowiłem zapytać się kogoś o wskazówkę dojścia do mojego

celu. Naprzeciwko mnie szedł chodnikiem jakiś dzieciak w brudnych, obdartych ubraniach.

Ja: - Hej, młody. Szukam jakiegoś baru lub pubu. Jak tam dojść?

Dzieciak: - A co masz dla mnie do żarcia?

Ja: - Trochę ołowiu – odpowiedziałem po krótkim zastanowieniu.

Dzieciak: - To wypierdalaj! – powiedział podniesionym głosem na pożegnanie. No świetnie... Mam nadzieję, że znajdę tu kogoś normalnego, bo na razie takiego jeszcze nie widziałem. Idąc dalej trafiłem na jakiegoś starego mężczyznę. Oto moja druga próba...

Ja: - Dzień dobry. Szukam baru. Musi być gdzieś tutaj...

Starszy: - Nie za wcześnie na picie?

Ja: - Nie, nie... Ja tylko potrzebuję informacji.

Starszy: - A pan to co? SB, czy KGB...?

Ja: - Po prostu jestem tutaj pierwszy raz, przejazdem. Po tym, co tutaj widzę, długo tu nie zostanę.

Starszy: - To dobrze, bo to jest miejsce dla wybranych...

Ja: - Właśnie zauważyłem. Chyba szybciej by było, jakbym szukał na własną rękę tego pieprzonego baru.

Starszy: - Jeżeli mówisz, że i tak tu nie pozostaniesz, to co mi tam szkodzi... Idź prosto cały czas tą drogą. Na drugim skrzyżowaniu skręcisz w lewo. Tam będzie parking. Na ścianie jest tabliczka. Trudno jej nie zauważyć...

Ja: - Nareszcie... Do widzenia.

Ruszyłem zgodnie ze wskazówkami, nie czekając na odpowiedź starszego. Mijając kolejne zrujnowane kamienice w końcu trafiłem na drugie skrzyżowanie. Kilkadziesiąt metrów po prawej stronie był aktualnie trzypiętrowy budynek, z napisem „*hotel*” nad wejściem, natomiast po lewej stronie znajdował się parking. Za nim – jak później się okazało – stał zadbany, jednakże bardzo stary dwupiętrowy budynek. Do głównego wejścia prowadziły po obu stronach krótkie okrągłe schody. Wszystkie okna były zabite deskami. Na ścianie przed schodami widniała tabliczka „*Bar Samopar*”, cokolwiek autor miał na myśli. Nie pozostało mi dzisiaj nic innego jak wejść do środka i zaczerpnąć paru informacji.

Po otwarciu pary drewnianych drzwi od razu znalazłem się w dużej sali z metalowymi stolikami i krzesłami. Po prawej stronie przy ścianie był bar. Za nim stał młody mężczyzna ubrany w czarną koszulę, aktualnie mył on plastikowe kubki. Przy barze siedział jeszcze facet palący papierosa. Cały lokal wydawał się zadymiony, jednak to nie była woń tytoniu, ale kurzu. Mało to było przyjemne, ale widocznie tutejsi przywykli już do tego we własnych domach. Poza tym mężczyzną na sali były jeszcze dwie osoby siedzące przy stoliku. Przy ścianie na wprost ode mnie stały trzy automaty do gry, jednak brakiem migających pierdułkowatych światełek oraz wkurzających melodyjek wskazywały na ich dawne wymarcie.

Za chwilę znalazłem się na stołku przy barze. Barman, po dokładnym obmyciu kubeczka podszedł do mnie...

Barman: - No proszę... Widzę nową twarz. Rzadki widok tutaj. Tak w ogóle, to Michał jestem – dodał podając mi swoją dłoń.

Ja: - Daniel.

Barman: - Podać coś?

Ja: - Chciałbym, ale nie zdążyłem się zapoznać z systemem płatności w tym mieście.

Barman: - Od wieków nic się tu nie zmieniło... No oprócz tego, że o wiele łatwiej jest handlować innymi przedmiotami, a nie tylko pieniędzmi.

Ja: - Nie owijając, nie mam przy sobie kasy... – dodałem poirytowany.

Barman: - Nic nie szkodzi. Jedno piwko na koszt lokalu... Jako nowemu klientowi – powiedział chwytając za kubek z tworzywa sztucznego, wlewając następnie w niego część zawartości dużej plastikowej butli. Po jej etykietce pozostały tylko śladowe ilości papieru.

Ja: - Spytam się tak z ciekawości, co to za piwo?

Barman: - Tutejszy specjał. Na pewno chcesz wiedzieć, co to jest?

Ja: - Tak. Ciekawość jest silniejsza ode mnie.

Barman: - To rozcieńczony wodą spirytus z dodatkiem jakiegoś... specyfiku... Jeżeli chcesz znać szczegóły, musisz dopaść Aliego. To on się tym zajmuje. Jak mi zaczął tłumaczyć, to i tak nie zapamiętałem. Podawał jakieś tajemnicze, nic nie mówiące substancje. Może ściemniał, ale ja i tak mam to w dupie. Ważne, że się sprzedaje... Zresztą sam to piję. – Kończąc mówić, podał kubek pełen bladej cieczy. Spróbowałem łyka i... Sam nie wiem. Piwo tylko z nazwy. Czuć było mocny gorzki smak, spirytus no i... No właśnie... Ogólnie, jakbym miał sobie wyobrazić smak szlachow, to taki by właśnie on był.

Ja: - Dawno piwa nie piłem... Właściwie, to czemu rozlewacie spirytus, jak pozostały nieskażone magazyny pełne piw?

Barman: - Z prawdziwym piwem, to już jest inna historia. Po prostu była sobie pewna grupa idiotów, która uważała, że cała ta wojna wybuchła przez nasze grzechy... Za naszą wielką rozpustę... I takie tam pierdoły. Kilka kilometrów stąd była hurtownia alkoholi. Wyobraź sobie, że przeniesienie całej jej zawartości do pobliskiego magazynu, to był jeden z najbardziej zreszczających czynów społecznych w historii tego miasta. Do magazynu trafiły też wszelkie zbiory z okolicznych sklepów. Ale pewnej bandzie się nie spodobało, że niemal wszyscy chodzą do mojego baru i chleją... Ile wlezie... Za smutki... By wspominać o przeszłości, o rodzinie... Ale nie o to chodzi. Im po prostu się nie podobało, że wszyscy zamiast zmienić się na lepsze po całym tym kataklizmie, popadają w alkoholizm. Pewnej nocy, smuga rozświetlonego płomieniami dymu pojawiła się nad miastem. Ci przekłeci idioci podpalili magazyn! Wszystko poszło w pizdu. Wywiesiliśmy ich potem przed miastem w nagrodę; za śmiałą próbę resocjalizacji. Od tamtej pory prawdziwy alkohol to tutaj skarb. Stać na niego tylko tych biurokratycznych pacanów z ratusza.

Ja: - No to nieźle... Pozwolisz, że zjem sobie konserwę? – powiedziałem wyjmując moją przedostatnią konserwę.

Barman: - Nie ma sprawy. Daj, ja ci otworzę – odpowiedział, otwierając po chwili puszkę.

Ja: - Potrzebuję informacji. Chciałem znaleźć kogoś, kto byłby w stanie sprawnie zoperować ranę postrzałową.

Barman: - Teraz to trudno o naprawdę dobrego lekarza. W *Azylu* tylko dwie osoby zajmują się medycyną. Jak wyjdiesz z baru pójdź w lewo. Na końcu tej ulicy znajduje się to, czego szukasz.

Ja: - Jeszcze jedna sprawa. Jak odebrać skonfiskowaną przez strażników broń?

Barman: - Przy wschodniej bramie miasta jest budynek – zbrojownia, czy jakoś tak. Tam trzymają większość broni. Coś tobie zabrali, to leży raczej tam.

Ja: - Dzięki za informacje.

Nastała cisza. Kubek po napoju piwopodobnym stał już pusty. Właśnie kończyłem pochłaniać konserwę, gdy zaskrzypiały wejściowe drzwi. W nich pojawił się Chudy wraz z rannym strażnikiem. Zapowiada się ciekawie. Podeszli do baru, zajmując stołki obok mnie.

Chudy: - Barman, piwo dla mnie.

Barman: - Już podaję...

Strażnik: - Cholera... Myślałem, że się zesram na tym przesłuchaniu...

Chudy: - Idioci. Bez sensu takie przesłuchania. I tak tutaj weszliśmy. Może straszą nowicjuszy, bo na mnie to nie działa.

Ja: - Dobrze, że mamy to już za sobą. Dowiedziałem się, gdzie jest jakiś lekarz. I myślę, że za chwilę do niego się wybierzemy. – Po chwili na twarzy Chudego wyrysowało się małe spięcie.

Chudy: - My??? Czyli kto?

Ja: - No, we trzech.

Chudy: - A co? Barmana namówiłeś do swoich wędrówek?

Ja: - Co jest z tobą?!

Chudy: - Czy ty niczego nie zrozumiałeś z naszej porannej rozmowy? Nie pamiętasz umowy? Nie ma już my! Uciekliśmy bandytom, dotarliśmy do miasta i tu kończy się nasza przygoda.

Ja: - ...No nie mów...

Chudy: - Miłej zabawy – dodał, kiedy „piwo” znalazło się w zasięgu jego dłoni.

Strażnik: - Pieprzyć go... Chodźmy do tego medyka.

Ja: - Eh... Racja – odpowiedziałem, wstając ze stołka. Ruszyłem w kierunku wyjścia. Strażnik wstał i poszedł za mną. Po wyjściu z baru skierowałem się zgodnie ze wskazówkami barmana. Skręciłem w lewo. Po przejściu ulicą dotarłem do skrzyżowania. Na wprost mnie stała stara kamienica, której elewacja oszpecona była nasprayowanym czerwonym krzyżem. Symbol był wysokości jednego piętra – brzydki, ale każdy wiedział, co się za nim kryje. Jedyne wejście znajdowało się do piwnicy budynku, bo te na powierzchni, było zabite deskami. Czy ktoś po prostu nie mógł wybrać lepszego miejsca? Dookoła znajdowało się mnóstwo kamienic w o wiele lepszym stanie.

Po przekroczeniu drzwi na dole, oczom moim ukazał się brudny korytarz, pomalowany błyszczącą farbą. Popękany lakier był jeszcze w takim stanie przed wojną. Na ścianie były przymocowane zakratowane lampy, dające blade, kolorem przypominające urynę światło. Dopiero teraz spostrzegłem stare plamy krwi na podłodze. Kierując się tymi śladami, skręciłem w drzwi na prawo. Były otwarte. Za nimi było średniej wielkości pomieszczenie. W centrum uwagi znajdowało się metalowe biurko z lampką, za którym siedział szeroki, ubrany w szary fartuch mężczyzna. Miał na sobie okulary, a jego policzek pokrywała wielka, podłużna blizna. Bawił się pęsetą, grzebiąc w małym pojemniczku z – prawdopodobnie – spirytusem. Dopiero po krótkim czasie zobaczył, że ktoś zawitał do jego zakładu. Przywitaliśmy się. Medyk przedstawił się jako doktor Mazur. Po tym przeszedłem do konkretów:

Ja: - Mój kolega potrzebuje pomocy. Został postrzelony. Pocisk, ewentualnie jakiś odłamek utkwiał mu gdzieś pod klatką piersiową...

Strażnik: - Strasznie boli... Ledwo mogę chodzić...

Lekarz: - Ogólnie to nie powinien pan z tym chodzić. Niech spojrzę... – powiedział wstając z krzesła, kierując strumień światła lampy na strażnika. Po tym nałożył gumowe rękawice, leżące na blacie, a następnie zaczął zdejmować pacjentowi stary bandaż. – Ma pan niezmiernie szczęście, że nie wdała się infekcja. W takich warunkach, jakie pan zapewnił pod opatrunkiem zakażenie było bardzo możliwe. Jedyne, co mogę zrobić, to oczyścić i zaszyć ranę. Ewentualnie zalecę panu pewne środki przeciwbólowe. W sumie wyniesie to jakieś... Mhmm...

Ja: - ...I tu pojawia się pewien problem. Nie mamy ze sobą pieniędzy.

Strażnik: - Odwdzięczymy się jakoś. To znaczy, ja się odwdzięczę... Jestem elektrykiem...

Lekarz: - Proszę nie kombinować. Utrzymuję się tylko z pieniędzy. Nie chcę, żadnych usług, złomów, amunicji, brudnego pożywienia... – Lekarz zdjął okulary. Po spojrzeniu było widać, że czuje się coraz mocniej zakłopotany. – No... Chyba, że zrobicie mi pewną przysługę...

Ja: - Kontynuuj... – odpowiedziałem, zastanawiając się, co konkretnie ma na myśli.

Lekarz: - Mogę się teraz nawet zająć twoim kolegą. W tym czasie, odszukasz moją torbę lekarską. Miałem z moim kolegą pewną... przygodę. Szliśmy nocą do starego szpitala po lekarstwa oraz ogólnie sprzęt medyczny. Wszystko odbywało się niemalże rutynowo. Robiliśmy już tę trasę kilkanaście razy. Właśnie wracaliśmy z kompleksu obładowani sprzętem, kiedy znajomy wdepnął w jakieś gniazdo przy ścieżce. W powietrzu po chwili zaroilo się od kilkucentymetrowych szerszeniopodobnych owadów. Ja po prostu zacząłem uciekać. Kolega też tak zrobił, ale wpadł w dodatku w panikę i zбочył z trasy. Po chwili usłyszałem krzyk, a następnie takie ciche stuknięcie. Gdy się odwróciłem, jego już nie spostrzegłem...

Strażnik: - Bo była noc?

Lekarz: - Światło odbite od powierzchni Księżyca było wystarczające... Później, jak już zrobiło się bezpieczniej, zacząłem myśleć, co dokładnie spotkało mojego kompana. Wtedy sobie przypomniałem, że była tam kanalizacja. Musiał tam wpaść, bo innego wytłumaczenia nie widzę... Miał przy sobie tę przekłętą torbę. Tam były przyrządy, które naprawdę mogą mi ułatwić pracę. Po całej tej sytuacji, straciłem chęć na takie wyprawy. I tu pojawia się ty...

Ja: - Rozumiem. Czyli tak, ja postaram się przynieść torbę, a ty teraz zajmiesz się moim towarzyszem. Kiedy wrócę, oczyścisz i zszyjesz moją ranę. Tylko co, jak ktoś już się zaopiekował tym sprzętem?

Lekarz: - Może inaczej. Muszę mieć pewność, że odwiedziłeś mojego znajomego. On zawsze

nosił przy sobie takie śmieszne wizytówki. Odręcznie zapisane. Po prostu przyniesiesz takie. Nie sądzę, aby ktoś to mu zabrał. Ale pamiętaj. Jak wrócisz z torbą, to będzie inna rozmowa.

Ja: - Umowa stoi – powiedziałem wysuwając do niego dłoń, po czym lekarz uściśnął dłoń. – Jak dojdę do tych kanałów?

Lekarz: - Musisz przejść przez wschodnią bramę. To jest na wprost od mojego zakładu. Gdy dojdiesz do skrzyżowania, skręcisz w lewo. Po przejściu przez bramę, ruszysz starą szosą w stronę lasu. Nad resztkami drzew widać fragmenty dawnego szpitala. W lesie jest taka polana. Tam szukaj tych kanałów.

Ja: - Wszystko fajnie, tylko że ja schodzę do kanałów. Przydałaby mi się latarka lub raca chociaż.

Lekarz: - Masz rację... Sprawdzę, czy mam coś na zapleczu... – powiedział znikając na chwilę za tylnymi drzwiami. Po kilku sekundach było słychać typowe hałasy przewalanego sprzętu. Długo nie minęło, kiedy dr Mazur wrócił ze starą, srebrną latarką – proszę. Stara, ale działa. – Przejąłem od lekarza przedmiot. Po włączeniu przełącznika, latarka rzuciła na ścianę jasny okrąg.

Ja: - Nawet nieźle świeci – dodałem zaskoczony.

Lekarz: - Zmodyfikowałem ją trochę. Ma o jedną baterię więcej, dzięki czemu mocniej świeci, ale przez to mają one mniejszą pojemność. Inaczej mówiąc, oszczędzaj je.

Ja: - W takim razie, dziękuję i do zobaczenia.

Lekarz: - Do widzenia.

Usłyszawszy te słowa, ruszyłem do wyjścia. Po przekroczeniu progu, skierowałem się w stronę tego dawnego szpitala, w zgodzie z tym, co mówił doktor. Ciekawe, czy on w ogóle jest po medycynie? To pewnie jakiś ściemniacz, co zna troszkę więcej, niżeli podstawy pierwszej pomocy. A tak poza tym, to znów zostałem sam. Chudy mnie zawiódł, a strażnik... Ehh... Mam nadzieję, że chociaż on się na coś przyda... On i ta jego wielka elektronika.

Powolnie, lecz niepowstrzymanie zbliżyć się zaczęły godziny wieczorne. Pogoda – jak zwykle – przekłęte bezchmurne niebo. Ja tymczasem dochodziłem do wschodniej bramy. Była to kolejna barykada, jednak większość materiału, jaki stanowił jej budulec, pochodził z zawalonych budynków. Na tych gruzach był ustawiony wysoki metalowy mur, na którym stali strażnicy. Jedynie pośrodku prowadziła ścieżka, gdzie była widoczna nawierzchnia drogi. Ulica prowadziła pod zawieszonymi na jakimś mechanizmie wrotami. Po lewej stronie od tego wszystkiego, stała kamienica, której wejście strzeżone było przez dwóch uzbrojonych ludzi. Pewnie to jest ta zbrojownia. Tam też się skierowałem. Po wejściu do środka znalazłem się w pomieszczeniu, gdzie w jednej ze ścian znajdowało się okno z kratami, za którym siedział dobrze zbudowany facet w kamizelce kuloodpornej. Za jego plecami był duży magazyn z metalowymi półkami, na których leżały bronie. Każda sztuka przykryta była karteczką. Podeszedłem do okienka.

Ja: - Dzień dobry. Chciałem odebrać skonfiskowaną dzisiaj rano broń.

Magazynier: - Dokumenty proszę – odpowiedział surowym głosem. Rzuciłem tekturkę na blat. Magazynier podniósł i zaczął sprawdzać jakąś własnoręcznie narysowaną tabelkę. – Jaki był twój zestaw?

Ja: - No... Kałasznikow z Glockiem – odparłem po chwili wspomnienia. Facet wstał z krzesła i powędrował pomiędzy regały. Wrócił po chwili z obiema broniąmi. Położył na biurku i podał mi kartę z tabelą. Wskazał miejsce na papierze i kazał podpisać. Po wykonaniu tej czynności, wziął kartę z powrotem, zwracając mi dokument tożsamości, oraz moje uzbrojenie. „*Dziękuję, do widzenia*” – odpowiedziałem po odebraniu przedmiotów. Mężczyzna wrócił na krzesło nie mówiąc niczego. Prawie jak szacunek...

Z kałachem na plecach wyszedłem na ulicę – mijając dwóch strażników – i skierowałem się poza miasto. Jak tylko ominąłem dużą bramę, cholernie się zelektryzowałem. Razem z szokiem przyszedł smród... Po prawej stronie na małym parkingu stała szubienica długa na mniej niż dziesięć metrów. Na poprzeczce czegoś w rodzaju niewymiarowej bramki wisały cztery ludzkie korpusy. Natomiast z lewej strony powbijano na pale szkielety będące w starych, poszarpanych ubraniach. Część z nich miała nawet kawałki tkanek, wciąż trzymające się kości. Czy oni są popierdoleni? Przecież jak to nawieje na miasto, to pójdzie się porzygać. Istna aleja śmierci... Kiepska atrakcja turystyczna. Czym więcej się dowiaduję o tym *Azylu*, tym szybciej chcę się stąd wynieść. Zebrałem się do kupy i przyspieszyłem kroku.

Minąłem kilkaset metrów, a krajobraz zaczął się zmieniać. Kamienice stopniowo zamieniały się w kupy gruzu. Poniżej horyzontu ukazały się wzniesienia z polanami porośniętymi piaskową trawą. Wyjawiał się także cel mojej podróży – las – nad którym kiedyś unosił się pewnie betonowy kolos. Teraz została tylko jego rozharatana część, wystająca parę metrów powyżej kikut na wpół wymarłego drzewostanu. W tej chwili powstało mi wybrać odpowiednią szosę, by dostać się do budynku szpitala. Po przejściu kolejnych skrzyżowań i zjazdów z trasy, po pokonaniu następnych zakrętów, zacząłem powoli wchodzić do resztek dawnego lasu. Dopiero teraz przemyślałem dokładniej moje posunięcia. Przecież właśnie nadchodził wieczór, a ja wkraczałem na nieznany mi teren. Mam nadzieję, że szybko się z tym uwinę i nie będzie jakichś poważniejszych komplikacji.

Kolejne kroki postawione na spękany asfalcie doprowadziły mnie do skorodowanej metalowej bramy, o której oczywiście nie śmiałem wspomnieć lekarz. Na szczęście za nią ukazała się pierwsza polana, będąca jednocześnie miejscem, gdzie niby jakiś czas temu wydarzyła się ta nieprzyjemna sytuacja. Pozostało mi jedynie szukać włazu do kanałów. Mógłbym się założyć, że znajduje się on gdzieś pośród otwartej przestrzeni. Dr Mazur mówił coś o ścieżce, może miał na myśli jakiś skrót do zabudowań szpitala. Po dłuższym rozejrzeniu się po okolicy zauważyłem wąską dróżkę zbaczącą z szosy, idącą dokładnie w kierunku zniszczonego obiektu. To musiało się zdarzyć gdzieś tam. Muszę tu tylko uważać na pieprzone szerszenie. Przeszukiwania zacznę od mojej prawej strony.

Kilka długich minut brodzenia w trawie poskutkowało znalezieniem czarnej dziury, otoczonej betonową wypukliną. Brakowało tylko pokrywy włazu. Może jakiś złomiarz się nią zaopiekował, zanim spadły bomby. No cóż. Czas zejść w dół. Prowadziła tam metalowa drabinka, przypominająca pozginane w prostokąty pręty, znikające w czeluściach otworu. Wyjąłem z oporządzenia latarkę. Po chwili jej promień bezskutecznie spróbował tknąć dna zejścia. Eh... Na wszelki wypadek przeładowałem karabin, wieszając go później z powrotem na plecach.

Zacząłem schodzić w dół, w nadziei, iż drabina w dalszym ciągu mnie toleruje. W czasie kilku sekund dotknąłem dna kanału. Zgodnie z przewidywaniami, nie znalazłem tu żadnej wody, szczęśliwie jednak ucieszył mnie dreszczyk chłodu. Włączyłem latarkę. Mimo tego, iż wcześniej wydawała mi się ona mocna, teraz dopiero zawiodłem się nad jej efektywnością. W żarówkowym świetle szare ściany okrągłego tunelu kończyły się po pięciu metrach w czerni. Problemem okazała się też średnica tunelu. Miała ona półtorej metra. Będzie trzeba iść na ugiętych kolanach... Użycie długiej broni w takich warunkach może być kłopotliwe. Wyjąłem z kabury Glocka, a następnie go przeladowałem. Echo rozeszło się po tunelu. Do wyboru zostały mi dwa kierunki. Wybrałem kanał lekko się wznoszący.

Po ponad stu metrach męczącej wędrówki, minawszy kilka szybów prowadzących na powierzchnię, dotarłem do końca tunelu. Nad nim umiejscowiony był zamknięty właz. Cholera... To nie w tę stronę. Oprócz starych, obsuszonych śmieci, nie znalazłem niczego, co przypominałoby ludzkie zwłoki lub torbę lekarską. Pozostało mi tylko zawrócić i dotrzeć do drugiej części kanałów. I znów w jakże wygodnej posturze wykonałem trasę powrotną, ruszając wreszcie w – zakładając – poprawnym kierunku. Tym razem zgodnie ze spadkiem tunelu. W pewnym momencie drogę zablokowała mi krata, za którą było jakieś większe pomieszczenie. Na górze znajdowała się dziura po studziencie, przez którą wlatywały promienie słońca, oświetlające ścianę. Był już wieczór. Kilka metrów w dół leżała warstwa śmieci. Muszę tam jakoś zejść. Pchnąłem kratkę, jednak coś ją blokowało. Dopiero teraz, po rozejrzeniu się, spostrzegłem starą, zardzewiałą kłódkę. Wycelowałem w nią pistolet... Ale zaraz. Czemu miałbym marnować amunicję, robiąc hałas na całe kanały? Schowałem Glocka w kaburze, ściągając następnie z pleców karabin. Wziąłem zamach i uderzyłem kolbą o kłódkę. Ta nadal nie chciała sobie odpuścić, więc zrobiłem to ponownie... i ponownie. Kiedy już pękła, głośne stuknięcia rozeszły się echem daleko po tunelach, zanim nastąpiła cisza. Ciekawe, ile będę musiał się pieprzyć, żeby znaleźć ten sprzęt?

Odchyliłem kratkę. Na ścianie była drabinka, którą zacząłem schodzić w dół. Tylko, że coś trzasnęło i zaraz po tym leżałem już plecami na odpadach. Bolało, a kałach wręcz wbił mi się w plecy. Szczęśliwie jednak przedmiot, na którym wylądowałem, po części zamortyzował mój upadek. Tylko on coś strasznie śmierdział. Jak tylko wstałem, skierowałem na niego światło latarki... i... świetnie... To był człowiek. Przynajmniej kiedyś. Zacząłem przeszukiwać jego ubrania. No nareszcie! O tak, to był ten lekarz, wraz ze swoimi śmiesznymi wizytówkami. Doktor Cieszyński, Klinika Azyłu. Miał nawet dokument tożsamości. Ale zaraz... Co się stało z torbą? Wstałem i rozejrzałem się dalej. W śmieciach nic takiego nie leżało. Z samego pomieszczenia prowadziły dwie niezbadane przeze mnie drogi. Zacząłem się zastanawiać. Coś było nie tak. Jakiś jakby hałas w tle dobiegał z jednego z tuneli. To była muzyka... Co jest...? Iść i sprawdzić, co tam jest, czy wrócić z wizytówkami? Pewnie ten debil będzie chciał mi zszyć rany, jak wrócę bez jego sprzętu. Spokojnie, po cichu. Jak coś, to się wycofam.

W ten sposób ruszyłem w stronę źródła muzyki. Kanał piął się lekko w górę. Czym bliżej podchodziłem, tym bardziej traciłem motywację. W końcu nie wiem, ile osób jest w stanie wytrzymać skradanie się w rytmie starych przebojów discopolo. Za drugim zakrętem ujrzałem światło – kilkanaście metrów ode mnie. To była wnęka w tunelu wielkości

pomieszczenia. Z tym, że sam kanał zakończony był betonową ścianą. We wnęce były drzwi, nad którymi paliła się żarówka. Po ciuchu zdjąłem karabin. No dobra... Zaskoczmy tego amatora muzyki...

Nawiasy były na zewnątrz, czyli drzwi musiały otwierać się do mnie. Przycisnąłem klamkę i pociągnąłem mocno drzwi. Porządne skrzypnięcie rozeszło się po kanałach, a mnie przywitał jakiś biały pył. Upuściłem na pasku karabin i rzuciłem się rękoma na piekące oczy... Kaszląc tym badziewiem, bezmyślnie kroczyłem do tyłu, aż coś niskiego mi w tym przeszkodziło. Potknąwszy się padłem tyłem na beton.

SPIS TREŚCI

L.P.	TYTUŁ	STRONA
-	<i>Pyły pustkowi</i>	1
-	Prolog	2
1	ROZDZIAŁ I: Witamy w nowym świecie...	3
1.1	Cienie pustkowi	4
1.2	Błysk	10
1.3	Odjazd	17
1.4	Po burzy	22
1.5	Kawy czy herbaty?	31
1.6	Odcinek 6 :P	48
-	Spis treści	51
-	Informacje od autora	52

INFORMACJE OD AUTORA

"*Pyły pustkowi*" jest to bezpłatne opowiadanie w klimacie post-apokaliptycznym wydawane chaotycznie część po części na mojej stronie internetowej. Najwcześniejszy zapis dotyczący tego projektu jest z dnia 16 sierpnia 2009, co można uznać za sam początek "Pyłów".

W przyszłości, gdy opowiadanie będzie miało ręce, nogi i dwie głowy, planowane jest wydanie całości w wersji papierowej. Nie mam pojęcia, czy i kiedy to nastąpi, jednak byłbym zaszczycony widząc taką zbitą kupkę papieru na półce w księgarni.